Rok VII. Lwów, Niedziela dnia 12. Grudnia 1880 r. **Tom XI.**

TYDZIEŃ POLSKI

Nr. 50.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 zł. półrocznie 7 zł. kwartalnie 3 zł. 50 ct.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 zł. 60 ct. półrocznie 8 zł. 80 ct. kwartalnie 4 zł. 40 ct.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
W KSIĘGARNI POLSKIEJ
L. 14 plac Halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni **J. K. Żupańskiego** w POZNANIU. PRENUMERATA w POZNANIU: Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francji, Anglji, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.
W Krakowie skład główny w księgarni **S. A. Krzyżanowskiego.**

WOŁY ROBOCZE

SZKICE PATOLOGICZNO-SPOŁECZNE

przez

Autora kłopotów starego komendanta.

IV.

Mąż pięknej żony.

Pani Adela Jagłowska, żona pana Szymona dziedzica Wielkiej Jagły z attynencją Jagiełka, uchodzi za pierwszorzędną piękność w całej okolicy. Uprzedzam czytelniczki, że ja mojem autorskiem słowem za tę piękność nie ręczę, lecz ulegając głosowi opinii publicznej, powtarzam za panią matką pacierz. Dziś ma lat pewno dwadzieścia pięć albo sześć, wzrost topoli... (otóż ja się naprzykład na taką wysoką piękność nie godzę), postawę majestatyczną (tej się boję), biust pełny (a podług mnie co nadto, to niezdrowo), twarz nieco za dużą, lecz białości matowej — a wreszcie włosy bujne, czarne jak kruk, i zdaje się swoje własne. Co do oczów, te są więcej okrągłe niż podługowate, w kolorze mieszanym, trochę szafirowego z zielonym, jak wiadomo najzdradliwsze jakie są pod słońcem. Pod oczami naturalnie musi być nos, ale u naszej damy ten nos trochę papuziego zakroju. (Dziękuję uniżenie za taką piękność, u której na stare lata nos będzie przeszkadzał przy jedzeniu.) Usta choć trochę wydatne, ale dość obiecujące, tylko to nieszczęście, że nad niemi zarysowuje się delikatnym czarnym puszkiem coś jakby wąsiki. No, dotąd wszystko cośmy opisali u pani Adeli, przy szczególniejszym guście amatorów, może pasować do prawdziwej piękności, ale darujcie państwo, czy można śliczną osobą nazwać taką, do której każdy siostrzeniec, opierając się na znanym frazesie: »gdyby ciocia etc...« ma prawo powiedzieć »wujaszku«! — No, powiedzcie sami, doprawdy, czy można? Jednakże cóż poradzić z głosem powszechnym, który jak się czasem rozkapryśi i do kogo coś upatrzy, to żebyście go nie wiedzieć jak przekonywali, on zawsze trąbić będzie swoje: piękna, piękna i piękna.

Otóż co do pani Adeli taż sama była historja, i to nie od dziś, ale od tej epoki, gdy mała Adelcia liczyła dopiero jeden rok i sześć tygodni, to jest, kiedy ją pierwszy raz fotografowano na kolanach u mamki. Fotografję tę, notabene bez głowy mamki, którą dlatego że była brzydką, wypuszczono po za ramy obrazka, łącznie z kolekcją szesnastu innych wizerunków Adeli w różnych kostiumach i różnych pozycjach, w jednej nawet trochę nieprzyzwoitej względem widza; dziś jeszcze każdy może oglądać w gabinecie papy Jankielowicza, rozwieszoną tuż nad kanapą na ścianie... Stary nie broni oglądać — owszem, robi mu to przyjemność.

Proszę się dwuznacznie nie uśmiechać na to nazwisko. Moi Jankielowicze nie są z tych, daję słowo, ale z bardzo dobrych Jankielowiczów, starej szlachty, jeszcze przez ś. p. Kaczanowskiego, jak się należy wylegitymowanej. Pan Stanisław Jankielowicz jest powszechnie znanym i szanowanym obywatelem, ma dyplom heroldji z herbem *Patoka* w zielonem polu, ma świadectwo marszałka, wszystko w bardzo porządnym futerale ze złoconemi na wierzchu figlasami ułożone. Nie chwali się z tem przed każdym, ale niechno się kiedy rozgada w znajomem kółku o tym przedmiocie, to warto posłuchać, bo można się bardzo ciekawych rzeczy heraldycznych od niego dowiedzieć. Naprzykład ten familijny nos papuzi, ma tam swoją oddzielną i bardzo poważną historję. Ni mniej ni więcej, tylko pochodzi w bocznej linii *wprost od Burbonów*. Jak Boga kocham, tak to jest prawda, bo podług pargaminowych dokumentów familijnych, jeden z Jankielowiczów jako dworzanin Władysława IV., ożenił się z prawdziwą kuzynką Marji Ludwiki, która właśnie miała choć nie całą krew, ale za to cały nos burboński.

— Tak, tak, panie kochanku — powtarza pan Stanisław — Jankielowicze mają swoje nosy od Burbonów, podobnie jak Habsburgi wargę od naszej Piastównej, i powiem ci, zaszczyt to nam przynosi.

Mając lat cztery, Adelka okrzyczaną była za cudownie piękne dziecko w całej Warszawie. Ubierano ją też w same jedwabie i aksamity, prowadzono na spacery do Saskiego ogrodu, pieszczono, całowano, chwalono, zwłaszcza że prześlicznie tańczyła kaczuczę z kastanietami u rączek, a starszy pan, ojciec pani, doktor medycyny Rubner psuł ją, ale to psuł na urząd, znosząc rozmaite zabawki, ubrania, cukierki i Bóg wie nie co.

Starszy pan już wtedy nie zajmował się praktyką, ale był osobistością bardzo poważaną i głośną. Mały, pękaty i siwy jak gołąb starowina, rozpływał się nad pięknością Adelki, a choć tylko jedno miał oko, to niem widział daleko lepiej, niż inni trzema. W całej rodzinie Rubnerów, Jankielewiczów i innych z nimi spokrewnionych, doktor uchodził za patryarchę i wyrocznię. Pan Stanisław zięć, nigdy nie wziął się do żadnego interesu, bez porady doktora, i jak on powiedział: rób — to się robiło; a jak nie — to żeby złote góry obiecywano, zięć nie chciał o niczem słyszeć.

Dziwna rzecz, jak często pan Bóg mimo uznanej sprawiedliwości swojej, jednym daje za wiele, a drugim nic. Naprzy-

kład ci Jankielowicze mieli już wszystko co człowiek zapragnąć może: dobra, kamienicę, dyplomy, rozum, talenta, szacunek powszechny, apartamenta, meble, obrazy, wina jakich nikt nie ma, cygara jakich nikt nie pali, a nawet kucharkę gotującą tak pysznie, że niech się schowa kucharz książęcy.

— Mówię ci panie kochaneczku, powtarzał nieraz pan Stanisław — jak moja Adamowa poda ci rybę w majonesie, to tylko buzi dać! — kończył całując sobie końce palców.

Nie mówię już o przyjęciach w domu tych państwa; — nigdzie się tak nie udawały. Młodzież biegła tam na złamanie karku, arystokracja po prostu pchała się, a zabawa nigdy nie kończyła się przed ósmą rano. Stary doktor Rubner, także dobry szlachcic ale już indygenowany za pierwszego Sasa, był prawdziwą rozkoszą całego towarzystwa. Trzeba słyszeć jak ten poczciwy starowina grając w wista z paniami rozpowiadał różne dowcipne anegdotki, czasami nawet tłustawe; — trzeba widzieć i kłaść się od śmiechu jak doskonale umiał naśladować cmokanie żydów ustami i ten arcypocieszny ruch ręką za szyję — aby cenić przyjemność towarzyską tego niezrównanego człowieka.

No, i jakże tu nie było zazdrościć państwu Jankielowiczom, jeżeli do tych wszystkich szczęśliwości dodamy jeszcze pannę Adelę, cud piękności i gracji, pannę z talentami, która ukończyła pensją w Dreźnie, zwiedziła dwie wystawy światowe, kąpała się w dwóch morzach północnem i w Atlantyku, ma się rozumieć niejednocześnie, a przez jedną zimę przebywała w Nicei?

Do tego wszystkiego miała już lat dwadzieścia i dwa i nie chciała iść za mąż!

— Na co się spieszyć kochaneczko — odzywał się przy gościach pan Stanisław głaszcząc ją pod brodę — baw się moje dziecko, baw; na kiepskiego męża zawsze dosyć czasu.

— Ej ty, Stanisławie, słuchaj — przestrzegał stary dziadek, mrugając filuternie okiem — ty nie graj wysoko, bo przegrasz! Jeżeli taki porządny hrabia Z. prosi cię o jej rękę, to czemu krzywisz się na niego? Słuchaj Stanisławie, ja chcę się doczekać prawnuka.

Panna się rumieniła na takie dictum, mama robiła minę obrażonej, ale pan Stanisław tylko się uśmiechał i ręce zacierał, że takich hrabiów, którzy już kołatali o rękę panny Adeli, on może liczyć na tuziny.

Jakoś w tym czasie pan Szymon Jagłowski odziedziczywszy majątek po rodzicach, potrzebował spłacić siostrę zamężną i zamierzył sprzedać część lasu z dóbr Wielkie Jagły. Żydzi faktorzy wskazali mu pana Jankielowicza jako kupca, i ztąd zawiązała się znajomość z tym znakomitym dworem. Pan Szymon miał wtedy lat dwadzieścia pięć i pochodził z bardzo dobrej szlacheckiej rodziny na Podlasiu, nie takiej wprawdzie jak pan Jankielowicz, w którego żyłach aż krew burbońska płynęła, ale zawsze trochę lepszej niż zwyczajna szlachta. Nieszczęście tylko, że powierzchowność jego wcale nie odpowiadała ani tym koligacjom, ani temu pałacowi, który dość imponująco stał na pagórku w Wielkich Jaglach, przeglądając się w lustrzanej wodzie Liwca. Malutki, chudziutki, w niebieskich okularach, z twarzą podrapaną od ospy, z czerwonawym zarostem, wiecznie obsypany piegami, miał minę co najwyżej dependenta od notarjusza, ale nie dziedzica takiej włości. Gdy pan Jankielowicz, osoba jak wiadomo bardzo okazała, z twarzą ogoloną po angielsku, z brzuszkiem także na sposób angielski zapuszczonym, przyjechał do Jagłów ten las obejrzeć, z początku wziął naszego dziedzica za frotera.

— No, w takim dużym pałacu, taki mały człowiek — powiedział do notarjusza, który z nim przyjechał — jak to może być?

A jednak było i pokazało się, że więcej było, bo ten mały człowieczek okazał się nadzwyczaj twardym w interesie, i umowa nie mogła przyjść do skutku. Wysłuchawszy całej relacji, po powrocie do Warszawy, stary doktor powiada:

— A słuchaj ty Stanisławie, czyby jemu nie poprawić rasy?

— Jakto ojciec mówi?

— No, poprawić tym Jagłowskim rasę przez Jankielowiczów... Nierozumiesz? Adela jest dziewczyna zdrowa i tęga, a stare rody trzeba ratować, mój Stasiu... To jest obowiązek obywatelski, narodowy nasz obowiązek.

Uśmiechnął się tylko pan Jankielowicz.

— Weź ty sobie to Stasiu na uwagę...

I widocznie wziął na uwagę, skoro przy pierwszej bytności Szymona przybyłego do miasta dla dalszych pertraktacji, zaproszono go uroczyście na mały obiadek domowy. Gospodarz, który zazwyczaj pełnił obowiązki cyczerona w swoim domu, tym razem wysilał się, aby olśnić nowego gościa. Nigdy służba nie widziała pana Jankielowicza, aby z taką werwą potrząsał swoim angielskim brzuszkiem jak teraz, gdy pokazywał Szymonowi cuda domowe. Przy jego olbrzymiej postaci, przy tem ruszaniu ramionami i dreptaniu do koła na cienkich nóżkach, nasz poczciwy szlachcic z Podlasia wyglądał jak kurczę ogarniane skrzydłami matki kury przed napadem jastrzębia. Pokazywał mu wszystkie pokoje, pokazał galerję obrazów, bibliotekę, starożytności i broń odziedziczoną po przodkach; — pokazał dyplom Heroldji z drzewem genealogicznem, a wreszcie nowy paryski tużurek i uroczego jastrzębia z zielono szafirowemi oczami — pannę Adelę.

Na obiedzie był także stary doktor, rozweselający anegdotkami całe towarzystwo i gdy wstano od stołu a panna Adela zagrała sonatę Betowena, on biorąc pod rękę oszołomionego trochę szlachcica powiada:

— Czy widziałeś coś piękniejszego na świecie od naszej Adelki?

— Rzeczywiście...

— Otóż ja panu powiadam, ja, doktor Rubner, żeś nie widział...

I usiadłszy z nim na oddzielnej kozetce, trącał co chwilę łokciem, zwracając uwagę na różne pojedyncze wdzięki i przymioty swej wnuczki...

— Jaki to będzie szczęśliwy ten, komu się ona dostanie; co, prawda?

Pan Szymon tylko westchnął.

— I posag kraciowy... Stary dziadek ma także dla niej odłożoną sumkę i niezłą sumkę...

— Więc idzie za mąż? — pyta szlachcic.

— Żeby tylko skinęła palcem, to roje młodzieńców leżałoby przy jej nogach; ale to jest bardzo wybredna osóbka i z rozumem. Ona nie patrzy na powierzchowność ani na majątek, ale szuka ducha...

— Ducha? — powtórzył zadumany szlachcic.

— Pan nie rozumiesz co to jest duch w człowieku? Jest to co wewnątrz... wartość moralna.

Pod tym względem zdawało się panu Szymonowi, że on właśnie daleko więcej ma tej wartości wewnątrz, niż z wierzchu, choćby doliczyć nawet do niej Wielkie Jagły z przyległościami, których hypoteka nieźle już była osmarowana. Z tego powodu odrazu zbudziła się w jego myśli żywa sympatja do panny Adeli, a sympatja ta powiększyła się jeszcze, gdy zaproszony do loży państwa Jankielowiczów widział, że mimo tylu wizyt dystyngowanych panów, ona tylko z nim rozmawiała o wewnętrznej wartości człowieka, o obowiązkach żony obywatela ziemskiego skierowanych ku podniesieniu oświaty ludu i jego uszlachetnieniu.

Pan Szymon, trzeba przyznać, należał wtedy do liczby zapalonych obrońców ludu wiejskiego; a że nie myślał się żenić z powodu swojej brzydoty, więc miał gotowy testament na wszelki wypadek, którym cały swój majątek zapisywał na różne humanitarne cele, głównie zaś na założenie resursy włościańskiej w Wielkich Jagłach. W resursie tej mieli się zbierać co wieczór włościanie z żonami i dziećmi, mieli się zabawiać muzyką i tańcami, słuchać odczytów, i popijać zamiast wódki herbatę z suszonych bratków. Pan Szymon słuchał kiedyś wykładów czcigodnego Jastrzębowskiego w Marymoncie i był przekonany, że wszystkie sprowadzane z zagranicy korzenie i zioła, nawet herbatę i kawę, można zastąpić swojskiemi. Sąsiedzi z okolicy z tego powodu, mieli go za dziwaka, lecz panna Adela, przed którą się na drugi dzień z planami swojemi wygadał, z zachwytem powtórzyła to wszystko przed ojcem i dziadkiem, skutkiem czego sam stary patrjarcha oddał mu wizytę w hotelu, jako człowiekowi wyższych poglądów, który na cześć i szacunek powszechny zasługuje.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

DWAJ POLSCY MALARZE.

NAPISAŁ

W. J. WDOWISZEWSKI.

I.

Wiernie stanąć na przeszłości,*)
Jak krew ze krwi, jak kość z kości.
I pamięcią objąć dzieje —
A w świat przyszły siać miłości,
Ziarna Wiary i nadzieje —
Ziemię z niebem związać społem,
Serce z Bogiem, pieśń z Narodem,
Słowem, wzorem iść mu przodem,
I przymierza opleść kołem — —
Nie pobluźnić, nie podwoić
Ale podnieść, uszlachetnić,
Ale złączyć, ale spoić,
I uwiecznić i uświetnić — — —
To zadanie sztuki, śpiewu,
Mężów Prawdy i Posiewu. —

Słowa te napisał 18. listopada 1849 roku nasz niezapomniany Wincenty Pol, na portrecie swoim wykonanym akwarelami przez Liedera młodszego w Wiedniu, posełając go w upominku „Braciom Franciszkowi Ksaweremu i Maksymilianowi Siemianowskim na pamiątkę chwil spędzonych razem i w dowód przyjaźni.“

Jakież znaczenie mają słowa poety o „mężach prawdy i posiewu“, w odniesieniu do braci Siemianowskich? zapyta czytający ogół. Jakież znaczenie ma to przypomnienie „zadania sztuki“ w odniesieniu do ludzi, których nazwiska nie zarejestrowała ani literatura ani sztuka w rzędzie swych pracowników?

Zwał ich poeta przyjaciołmi swymi — wierszem swym na równi ze sobą stawiał, a tymczasem nazwiska ich utonęły, jak wiele innych „w zapomnienia fali“. Albo więc poeta mylił się, licząc ich do „mężów prawdy i posiewu,“ którzy zrozumieli „zadanie sztuki“ i potrafili „wzorem iść na przodzie“, albo też potrzeba było lat 30 przeszło, aby ogół zrozumiał, że słowa poety, były słowami wieszcza.

Gdy w kwietniu 1878 roku umarł w Sanoku emerytowany radca Namiestnictwa i były starosta sanocki Maksymilian Siemianowski, wszystkie dzienniki krajowe, między niemi także „Tydzień“ w Nr. 34 z wymienionego roku, doniosły, że zmarły zapisał cały swój majątek wynoszący przeszło 60.000 złr. na stypendja naukowe i dobroczynne. Czyn ten dał pewien rozgłos mało dotąd znanemu nazwisku Siemianowskiego — ci zaś, którzy zmarłego mieli sposobność znać bliżej i lepiej, utwierdzili się w przekonaniu: że należał on istotnie do tych, którzy „stanąwszy na przeszłości“, wzorem przodków, „jak krew ze krwi, jak kość z kości“, sieją „w świat przyszły miłości ziarna i nadzieje“ i godnie spełniają zadanie „posiewu“.

Dziś — gdy od napisania przytoczonych słów Wincentego Pola minęło lat 30, a od śmierci ostatniego z rodu Siemianowskich dwa upłynęły lata — czas już ostatni, aby naród dowiedział się, że w braciach Siemianowskich, w przyjaciołach nieśmiertelnego poety, miał nie tylko zacnych synów, ale nadto pierwszorzędnych artystów-malarzy. Czas wyjawić, że zapisali się oni na kartach przeszłości nie tylko ofiarą swego majątku na cele ogólnego dobra, ale zostawili po sobie spuściznę artystyczną, którą się przed całym światem pochlubić możemy. Czas donieść ogółowi, że w chwili, gdy Klaczko, odsądzał naród nasz od zdolności wydania z pośród siebie artystów znakomitych, mieliśmy już dwóch znakomitych malarzy akwarelistów w osobach Franciszka i Maksymiliana Siemianowskich; że w chwili, gdy Wincenty Pol pisał wiersz dedykacyjny dla braci, oni stworzyli już swe najlepsze dzieła i dlatego już wówczas mógł z wszelką słusznością zaliczyć ich do ludzi mogących iść przodem narodowi.

Spuścizna artystyczna po braciach Siemianowskich składa się ze 184 obrazów akwarelowych — własnoręcznie przez nich wykonanych. Maksymilian zapisał ją testamentem w darze Akademji umiejętności w Krakowie, gdzie też obecnie spuścizna ta znajduje się. Zdawało mi się, że Akademja umiejętności otrzymawszy tak cenny dar, poczuje się do obowiązku zawiadomienia publiczności o nim, że uzna za stosowne przez wystawę publiczną tych dzieł artystycznych, zaznajomić ogół z pracami nieznanych dotąd artystów; że przynajmniej Wydział historji sztuki wystąpi w sprawozdaniach i pamiętnikach swych z oceną tych pozostałości po dwóch niepośledniego talentu malarzach i z życiorysami tychże — ale gdy dwa lata od otrzymania tego daru upłynęło i Akademja nie daje znaku życia w tej sprawie, chowając pod zamkiem dzieła, które dziś do całego powinne należeć narodu i które poznać ma on nietylko prawo, ale co więcej — obowiązek, odważam się wyręczyć Akademję umiejętności — która mi tego za złe niechaj brać nie raczy i pierwszy zaznajomię ogół z życiem i dziełami pomienionych artystów. Nie będę się bawił w szczegóły, bo obecnie nie zamierzam podać wyczerpującej monografii. Brak do niej wiele materajłów, zwłaszcza w części biograficznej — ale sądzę, że i ten krótki szkic będzie na czasie, że nim obudzę zajęcie u ludzi dobrej woli, którzy wystąpią po mnie z większym zasobem materjałów. Może szkic mój sprawi, że zdolniejsze pióro podejmie się napisania monografii o braciach Siemianowskich, że będzie motorem ruchu w sprawie mającej istotne znaczenie dla dziejów sztuki polskiej.

Szlachecką rodzinę Siemianowskich znajdujemy w Galicji, w dawnym obwodzie stanisławowskim, około roku 1750 osiedloną. Było to dobre szlacheckie gniazdo, jakkolwiek w dziejach Rzeczypospolitej nigdy wybitniejszych nie zajmowało stanowisk. Antoni Siemianowski, zamieszkały w miasteczku Monasterzyskach, miał w prostej linji pochodzić od Jerzego Siemianowskiego, rotmistrza chorągwi pancernej, który z Janem III. chodził oswobadzać Wiedeń a poległ w bitwie pod Parkanami. Panu Antoniemu rodzi się w roku 1765 syn Euzebiusz, a rok później drugi, którego Józefem nazwano. Byli to ostatni Siemianowscy urodzeni na wolnej ziemi ojczystej. Euzebi lat 20 mając wstępuje w r. 1785 do wojska polskiego i już w r. 1794 zostaje podpułkownikiem, bierze udział w powstaniu kościuszkowskiem, walczy pod Zieleńcami, Połońcem, Szczekocinami, Warszawą i Maciejowicami. Trzydziestoletni podpułkownik służy po upadku powstania dalej w wojsku; w r. 1807 zostaje przeznaczony do 2go legionu wojsk księstwa warszawskiego, następnie do 6go pułku piechoty. W roku 1809 mianowany pułkownikiem i dowódcą 14 pułku piechoty odbywa kampanią napoleońską do Moskwy a ranny nad Berezyną dostaje się do niewoli, w której półtora roku przebywa. Uwolniony z niewoli, wstępuje nazad do nowo zorganizowanego wojska królestwa kongresowego w stopniu pułkownika, a w roku 1820 otrzymuje nominacyą na komendanta twierdzy w Zamościu. We dwa lata potem, zatem w r. 1822 bierze dymisją i powraca do rodzinnego kąta, ze zwątlonem zdrowiem, bez środków utrzymania i jedyną nagrodą jaką mu dała ojczyzna za 37 letnią służbę, był tytuł pułkownika, papiery świadczące o wzorowej służbie, kawalerski krzyż zasługi wojskowej i nic — nic więcej... Najchętniej przebywał u przyjaciela swego, właściciela Żurawna i tam też w r. 1840 życia dokonał.

Mniej burzliwem było życie młodszego brata Józefa. Ten doszedłszy lat 20, nie porzucił jak Euzebi Galicji, która już wówczas do Austrji należała — ale owszem wstąpił do służby urzędowej, myśląc na tej drodze znaleść sposobność do oddania usług ojczyźnie. Pod rządem jednak ówczesnym dążącym do germanizacji i cofającym w cień wszystkie krajowe, zdolniejsze jednostki w służbie rządowej zatrudnione, nie dosłużył się potomek rotmistrza pancernego wybitniejszego stanowiska, mimo wybitnych administracyjnych zdolności i umarł komisarzem cyrkularnym w Sanoku. Mylimy się... Uznano jego pracę — albowiem w dobę po śmierci, złożonemu na katafalku przyniesiono dekret mianujący go — starostą obwodu sanockiego. Józef Siemianowski nigdy nie zaparł się polskości — mimo trudnych wówczas warunków urzędowej służby i w życiu rodzinnem pielęgnował troskliwie uczucia narodowe, których mu w życiu publicznem objawić nie było wolno, a dzieciom swym, których miał czworo, opowiadał o ostatnich latach wolności, na którą własnemi za lat młodych patrzał oczami, ze smutkiem i rozgoryczeniem. Stosunki jego majątkowe były dość pomyślne, gdyż zebrał toki zapas grosza — że ten wystarczał na przyzwoite utrzymanie domu i kształcenie dzieci — a po śmierci ojca zapewnił im byt niezależny. I żona Józefa, Antonina z Janickich wniosła jakiś posażek — słowem powodziło mu się w życiu pod względem finansowym znacznie lepiej, jak pułkownikowi Euzebiemu.

Ci, którzy znali Józefa Siemianowskiego bliżej, zapewniają, że byli nieraz świadkami, jak dorastającym synom c. k. komisarz cyrkularny przypominał przodka z pod Parkanów i kazał pamiętać, że Siemianowscy kładli swe kości na polach bitew za całość i sławę ojczyzny.

Jak już wspomniałem, miał Józef czworo dzieci, a to trzech synów: Ludwika, Maksymiliana, Franciszka Ksawerego i córkę Julią.

Najstarszy syn Ludwik urodzony około r. 1808, umarł małym chłopcem; Maksymilian ujrzał światło dzienne w Sanoku roku 1810, młodszy od niego o rok Franciszek urodził się także w Sanoku, który podówczas był już miastem cyrkularnem.

Jakkolwiek obaj chłopcy byli do siebie podobni z powierzchowności, to przecież od najmłodszych lat okazywali i znaczne różnice w charakterze. Starszy Maksymilian wesołego, żywego usposobienia, obejmujący rzeczy umysłem bystrym, spostrzegawczym, miał dużo fantazji,

*) Wiersz ten W. Pola nigdzie dotąd nie był drukowany. (P. R.)

*

pomysłowości i przedsiębiorczości ducha, podczas gdy młodszy, Franciszek, był cichy, powolny, skłonny do zamyślania, a odznaczający się niezmordowaną pilnością i dokładnością we wszystkich przedsięwziętych robotach. Maksymilian uczył się łatwo i szybko, Franciszek z pewną flegmą, ale w rezultacie postępy obu braci w naukach były jednakie. Tylko z wiekiem powiększała się różnica charakterów i uzdolnień.

Maksymilian wyrabiał się na człowieka publicznego w całem tego słowa znaczeniu; głowa jego pełną była projektów; marzył ambitnie o świetnej przyszłości jako mąż stanu — gdy przeciwnie Franciszek skromne miał wymagania i nigdy o wielkości nie zamarzył. Maksymilian był rzutką, pomysłową, genialną; Franciszek kontemplacyjną naturą. Dopełniali się wzajemnie. Starszy tworzył — młodszy wykonywał. W jednym tylko względzie te dwa różne charaktery zgadzały się ze sobą: w miłości ku ziemi rodzinnej i w miłości do wszystkiego co piękne. Każdy z nich na swój sposób był entuzjastą; zapalał się do piękna w naturze, życiu, sztuce i obaj zdradzali wcześnie talenta do sztuk plastycznych. Ojciec widząc w chłopcach niezwykły zapał do nauk, a zarazem wybitne w różnych kierunkach zdolności, dołożył wszelkich starań, aby im dać jak najświetniejsze wychowanie, a ponieważ wówczas, gdy chłopcy w młodzieńców dorastali, zatem około r. 1835, najcelniejszą w Austrji szkołą była Akademia Teresianum w Wiedniu, przeto do niej posłał obu synów.

W Teresianum prędko się poznano na wybitnych zdolnościach braci Siemianowskich, zwłaszcza gdy ci z całym zapałem młodości rzucili się do studjów i z końcem każdego kursu do pierwszych należeli uczniów. U współkolegów i profesorów zyskali sobie względy nie tylko samą pilnością i wczesną wytrawnością sądu, ale nadto przymiotami towarzyskiemi, które z nich czyniły pożądanych towarzyszy zabaw — gdyż każdy ich krok cechowała delikatność i wykwintność ludzi dobrze wychowanych.

Młodym akademikom otwarły się pierwsze salony Wiednia, a to tem chętniej, że ich tam poprzedziła sława artystów. Zapomnieliśmy bowiem powiedzieć, że młodzi Siemianowscy obok studjów naukowych, robili także studja artystyczne; rysunku i malarstwa uczyli się u pierwszych ówczesnych malarzy wiedeńskich — a sławny Gauermann liczył ich do swych najpilniejszych i najlepszych uczniów. Nic więc dziwnego, że wesoły Maksymilian, obdarzony szczególną zdolnością do karykatury i cichy Franciszek lubiący sielanki, byli pożądanymi w każdem towarzystwie, które chciało mieć zabawę zaprawioną solą atycką.

W roku 1832, po ukończeniu studjów w Teresianum wstąpili obaj bracia do służby państwowej i przydzieleni zostali jako praktykanci konceptowi do ministerjum stanu. Zdawałoby się, że młodzi ludzie tak wybitnych zdolności, prędko dosłużą się wyższych rang i stanowisk, zwłaszcza gdy w arystokratycznych rodzinach stolicy mieli protektorów i przyjaciół. Rząd ówczesny z otwartemi rękami przyjął w służbę młodych Polaków, gorąco polecanych przez profesorów z Teresianum, ale w opiekuńczym zapale ostygł prędko, przekonawszy się, że młodzi Siemianowscy, jakkolwiek synowie c. k. komisarza cyrkularnego, liczyli się zawsze i byli w istocie potomkami tej starej szlachty polskiej, co to przed nikim nie ugięła karku, przy przekonaniach stała twardo i nie sprzedała się obcym jako narzędzie do pognębienia drugich. Używano ich do prac żmudnych; do robót wymagających skupienia ducha, bystrości, pomysłowości; posługiwano się nimi przy wszelkich trudniejszych kwestjach; wysełano na prowincje, gdy tam była jaka zawilsza sprawa do załatwienia; wyzyskiwano ich pracę na wszystkie sposoby, ale ponieważ nie potrafiono przez lat 12 służby przerobić ich na powolne narzędzie ówczesnej polityki rządowej, przeto przez tych 12 lat nie posunięto braci ani o jeden stopień wyżej w hierarchii urzędniczej i panowie konceptowi praktykanci, zostali dopiero w r. 1844 mianowani koncypistami ministerjalnymi. Do takiego systematycznego pomijania ich w awansie przyczyniły się jawnie przez nich okazywane sympatje dla rozbitków listopadowego powstania, z którymi Siemianowscy stykali się bądź w Wiedniu, bądź na prowincji, i którym według możności udzielali albo poparcia, albo wsparcia, albo nakoniec dobrej rady i ochrony przed sekaturami policji.

Z rokiem 1845 rozpoczęły się ciężkie dla rządu czasy. W ludach Austrji zaczął się budzić duch wolności; duch, który w r. 1848 miał zabłysnąć rewolucją i z którym rząd ówczesny pomimo woli rachować się musiał. W tych ciężkich czasach mogli młodzi Siemianowscy wybornie nadać się rządowi, to też sądząc, że da ich się użyć za pośredników między polityką rządu a życzeniami poddanych, przeznaczono ich na prowizorycznych komisarzy cyrkularnych, do dwóch prowincji niemieckich, które objawiały niespokojnego ducha. O zamiarze tej nominacji dowiedzieli się pozaurzędowo bracia Siemianowscy, a że w ciągu kilkunastoletniej służby, poznali prawdziwe intencje rządu i wiedzieli, że zwolnienia jakie wtedy ludom dawano, były tylko chwilowem ustępstwem, a nie wynikiem rozważnej zmiany dotychczasowego kierunku rządzenia, przeto nie chcąc odgrywać dwuznacznej roli wobec rządzonych, a nie mogąc się zgodzić z hipokryzją rządzących, uprzedzili nominacją i jako koncypiści podali obaj prośbę o dłuższy urlop, pozorując go potrzebą ratowania nadwątlonego zdrowia. Za staraniem osób przyjaznych a wysokie wpływy mających, udzielono braciom roczny urlop, a oni natychmiast po utrzymaniu go, wyruszyli w podróż, tak, że już w pierwszych dniach września 1846 roku znajdujemy ich nad jeziorem Garda, rozkoszujących się pięknościami włoskiego nieba.

Że tam pod italskie błękity a nie gdzie indziej skierowali swe kroki, tłomaczymy sobie nader łatwo. Obaj bracia byli na wskroś artystami i mimo żmudnych zajęć urzędowych, każdą wolną chwilę poświęcali studjom artystycznym i estytycznym, kształcąc się na malarzy. Pod skrzydła geniusza sztuki chronili się przed posępnemi myślami o opłakanym stanie społeczeństw w ogóle, a narodu swego w szczególe. Biblioteczka braci — jak widać z jej pozostałości — obfitowała wówczas w dzieła tyczące się sztuki, zwłaszcza malarstwa; miała kilkanaście tomów wyłącznie zabytkom włoskim poświęconych, widocznie obaj bracia marzyli zawsze o Italii, o studjach tamże i oglądaniu pomników przedwiekowej cywilizacji. Tem więcej korciło ich na południe, do Włoch, że je w małej cząstce poznali pierwej, przy sposobności urzędowych podróży; gdyż — jak wiemy z aktów urzędowych — Maksymilian jeździł w r. 1840 do Triestu i Wenecji w urzędowej misji, a Franciszek w r. 1844 do Dalmacji. Te chwilowe odwiedziny zachęcić ich tylko mogły do ponownej, dłuższej podróży i nie omylę się, przypuszczając, że prośbę o urlop podali z myślą użycia wolnego czasu na podróż do Włoch w celach artystycznych.

Wyjeżdżając do Włoch mieli nasi bracia lat około 36, byli zatem w pełni sił męzkich; byli ludźmi o ustalonych zasadach, a wreszcie w tym wieku, w którym artyści produkują zwykle najlepsze, najdojrzalsze swe dzieła. Podróż tę od początku do końca odbywali bracia wspólnie, nie rozłączając się na chwilę — a trwała ona nie rok jeden, ale aż do jesieni 1848 roku, zatem dwa lata. Widocznie przydłużono im urlop za wpływem znakomitych osobistości wiedeńskich.

Artyści nasi spędzają jesień 1846 roku częścią w południowym Tyrolu, zawadzając o Meran; częścią w Dezeuzono nad samem Lago di Garda, zkąd odbywają wycieczki do Werony, wracając zawsze nad urocze jezioro.

Początek 1847 roku zastaje ich nad Lago di Como i Lago Maggiore. Gdy się zaczyna wiosna zdążają z nad Lago Magiore ku Medjolanowi, a zabawiwszy tam przez pierwszą połowę kwietnia, posuwają się dalej na południe przez Pawją, Voghera, Tortona, Nowi i w pierwszych dniach maja oglądają mury Genui. W mieście tem i jego okolicach bawią blisko miesiąc cały, poczem rzucają się znów na wędrówkę i przez Parmę, Mantuę, Padwę zdążają do Wenecji i tam przebywają cały prawie lipiec. W końcu tego miesiąca przez Ferrarę, Modenę dostają się do Speccia, zkąd okrętem wzdłuż wybrzeża płyną ku Elbie, a zwiedziwszy to miejsce pobytu wielkiego cesarza, drogą wodną dostają się do Rzymu w pierwszych dniach sierpnia. Pierwszą połowę tego miesiąca poświęcają oglądaniu pomników tak w Rzymie samym, jak jego okolicach, poczem ruszają do Kampanji rzymskiej, do Tivoli, Frascati, Velletri, Terracina; oglądają Kapuę i stają w Neapolu dnia 20. sierpnia 1847. Obaj bracia zachwyceni są Neapolem, jak to widać z ich podróżnych notatek i zamieszczonych tamże wykrzykników podziwu i uwielbienia. Noc pierwszego września spędzają na Wezuwiuszu; trzy dni tj. 3., 4. i 5 września rozkoszują się w Sorento, 6. i 7. robią wycieczkę na Capri a od 8. do 15. września przebywają w Pompei. Castellamare nazywają rajem, Amalfi wchodem do niego; w ogóle Neapolitańskie tak ich zachwyca, że trudno im się z niego wybrać, to też dopiero dnia 20. września przebywają cieśninę messeńską i lądują w Taormina u stóp Etny, wstąpiwszy przed przebyciem cieśniny do portowego miasteczka Pizzo. Z Taormina zwiedzają Etnę, poczem bawią kolejno w Catanii, Syrakuzach i Girgenti; oglądają ruiny dawnego Segesta i 22. października wjeżdżają do Palermo, gdzie przebywają dni kilkanaście. Czwartego listopada zastajemy ich w Pestum, 26. w Nicolosi, poczem okrętem opływają Sycylią, wybrzeża Kalabrji i Apulii i szóstego grudnia 1847 stają w Anconie. Nie wiemy jak długo bawili w samej Anconie, to tylko jest pewnem, że nim się rok 1847 zakończył, zwiedzili wybrzeża dalmackie i nowy rok

1848 powitali w Wenecji, zkąd znów podążyli nad Lago di Garda i tam wiosnę burzliwego roku — na artystycznej sieście spędzili.

Ze skruchą przyznaję, że nie wiem gdzie i jak przebyli lato 1848 roku, bo ani od przyjaciół, ani z notatek Maksymiliana dowiedzieć się tego nie mogłem. Śmiem przypuszczać, że w tym czasie zwiedzili Pragę i Berlin, aż też i urlop dwuletni zakończył się i trzeba było wracać do zajęć urzędowych.

Powiedzmy tutaj, że zdziwienie ogarnęło nas, gdyśmy się dopatrzyli faktu, że bracia mimo dwuletniego czasu przeznaczonego na zwiedzenie najcelniejszych miast włoskich, we Florencji z pewnością nie byli. Co mogło być powodem takiego pominięcia stolicy Toskanji, w artystycznej podróży braci, domyśleć się trudno, prawie niepodobna.

Na tem również miejscu nadmienić trzeba, że czas spędzony we Włoszech jest dla obu braci epoką największej twórczości artystycznej i dzieła, które w czasie tej powstały liczą się do najbardziej wykończonych i najznakomitszych ze wszystkiego co Siemianowscy stworzyli. W wędrówce swej po półwyspie i Sycylji, nie pominęli żadnego celniejszego pomnika starożytnej architektury, żeby go nie utrwalić w obrazie; każdy piękniejszy krajobraz znalazł w nich znakomitych odtworzycieli. Słowem, podróż ta przyniosła dla sztuki owoce nader piękne i złożyła się na wspaniałe Album włoskie, obejmujące sto kilka obrazów, akwarelami robionych.

Wróciwszy z podróży przebywają obaj bracia rok 1849 w Wiedniu, przy ministerjum, zaś w roku 1850 zamianowani komisarzami powiatowymi rozjeżdżają się. Franciszek do Krems, Maksymiljan do Hallstadt. Siemianowscy robili już wówczas starania, aby ich przeniesiono na posady do kraju, ale starania te w obec ówczesnych zamiarów rządu nie odniosły pomyślnego skutku.

Zdaje się, że Franciszek, w celu osobistego poparcia interesów tych, jeździł z Niemiec do Lwowa, a przy tej sposobności odwiedził krewnych swych w Żurawnie, bo o tem świadczy mały obrazek datowany z listopada 1848 r. a przedstawiający dwór w Żurawnie.

Ani Franciszek w Krems, ani Maksymijan w Hallstad nie próżnowali jako artyści. Z czasów ich urzędowania w tych dwóch miejscach, pochodzi kilkadziesiąt akwarel, przedstawiających krajobrazy z okolic jednego i drugiego miasta; pochodzi kilka obrazków rodzajowych, kilka kopij ze współczesnych malarzy, a nareszcie na rok 1852 przypada wykończenie kilkunastu porozpoczynanych we Włoszech, Dalmacji, Pradze i Berlinie akwarel, co razem stanowi sporą paczkę robót pierwszorzędnej wartości.

Że przy tem nie zaniedbywali urzędowych obowiązków, dowodzi nam nie tyle awans ich na naczelników powiatu, ile objaw zadowolenia ze strony mieszkańców w okolicach, które administrowali. Oto Franciszkowi, gdy odchodził z Krems na naczelnika do innego obwodu, wręczono przy pożegnaniu adres podpisany przez kilka tysięcy mieszkańców, a między temi znajduje się kilkadziesiąt głośnych nazwisk arystokracji i szlachty niemieckiej — oraz mnóstwo nazwisk inteligencji tamtejszej. Maksymiljanowi zaś, odchodzącemu z Hallstadt, na naczelnika komitetu do Lewoczy na Spiżu, wręcza 32 gmin niemieckich tamtejszego obwodu, a między niemi jest 8 miast, zbiorowy dokument nadający mu honorowe obywatelstwo w tychże gminach, za starania około dobra ich, zwłaszcza za budowę dróg i szkół.

Tak rządzili Polacy w Niemczech! Niechno który Niemiec rządzący w tym samym czasie w Galicji, pokaże podobne uznanie ze strony rządzonych. Chcielibyśmy widzieć!... Patrząc na te dokumenta mimowoli przyszło nam na myśl, że owe „polnische Wirtschaft“ nie musi być przecież złe, skoro Niemcy byli z niego tak zadowoleni, że je aż pieczęcią uznania zaopatrzyli przy rozstaniu...

Rok 1859, który dla Austrji jako państwa, nie bardzo się pomyślnie zakończył, zwiastował ludom pewien zwrot w polityce rządu, na korzyść ich. Do steru ministerjum spraw wewnętrznych powołany zostaje hr. Agenor Gołuchowski i rozpoczynają się prace nad dyplomem październikowym. Bracia Siemianowscy przewidują, że dla prowincji w skład monarchji wchodzących, nastąpią lepsze czasy i że rząd na serjo myśli się rachować z żądaniami ludów, jeden z Niemiec, drugi z Węgier robią starania aby się dostać na posady w Galicji, i rzeczywiście w roku 1860, mianuje ich rząd starostami obwodowymi z przeznaczeniem: Franciszka do Stryja, Maksymiljana do rodzinnego Sanoka. Obaj natychmiast zjeżdżają do kraju, ale niestety, Franciszek nie obejmuje swego stanowiska, gdyż w czasie podróży mocno zaniemaga i po krótkiej chorobie umiera we Lwowie mając lat 49.

Majątek swój przekazuje bratu Maksymilianowi bez żadnych zastrzeżeń pisemnych, prosząc go tylko osobiście, by nim przed śmiercią rozporządził według układu obopólnego, dawniej uczynionego.

Jakiejże natury był ten układ? Oto w roku 1849 bawiąc we Wiedniu, obliczali bracia jednego wieczora swoje dochody i wydatki, i okazało się, że corocznie mają nadwyżkę dochodów.

Wówczas postanowili bracia odkładać każdy zaoszczędzony grosz i zakupywać papiery wartościowe, aby każdy uzbierał jak największy majątek. Zobowiązali się następnie słowem braterskiem, że ten, który umrze pierwszy, zapisze swój majątek pozostałemu bratu, ten zaś ma obowiązek przeznaczyć tak swój własny, jakoteż odziedziczony po bracie, testamentem na cele publiczne, dla kraju... Nic dziwnego, że ożywieni tak zacną, prawdziwie obywatelską myślą, żyli od r. 1849 nader skromnie, zbierali grosz do grosza — i niewielkimi środkami tak znaczne osiągnęli rezultaty, że Maksymiljan mógł testamentem przekazać krajowi, na cele dobroczynne, majątek dochodzący wartości 70.000 złr.

Przysłowie mówi, że zgodą małe rzeczy rosną — my dodamy: żelazną wolą — wytrwałością i świadomością celu!...

Urzędowanie Maksymiliana jako starosty obwodowego w Sanoku, przypadło na ciężkie czasy, bo na czas wrzenia przedpowstaniowego i na samo powstanie 1863 roku. Nie zapomnijmy ani na chwilę, że Siemianowski zawsze czuł się Polakiem, że serdecznie kochał swój kraj, ale z drugiej strony przeciwny był wszelkiemu zbrojnemu ruchowi, uważając go za bezowocny, a jako urzędnik państwa był obowiązany czuwać nad tem, aby mieszkańcy jego obwodu zachowali się obojętnie względem powstania, by nie było organizacji, pomocy i sprzeciwiania się władzom. Położenie starosty obwodowego było nader trudne i tylko człowiek tej co Maksmilian miary, wytrwać mógł na stanowisku a nie splamić i nie zbrukać swojego imienia polskiego.

Świadkowie jego ówczesnego zachowania się podczas demonstracji przedpowstaniowych, powstania samego i zaprowadzonego następnie stanu oblężenia, nachwalić się nie mogą taktu i godności z jaką postępował w obec współrzędnych władz wojskowych i w obec skompromitowanych. Od ludzi, którzy w obwodzie sanockim należeli do narodowej organizacji, wiemy, że starosta unikał sekatur i prześladowań, że surowość rozporządzeń łagodził ile mógł oględnością w ich wykonaniu. Wiemy od wiarogodnych, a dobrze poinformowanych świadków tych czasów, że ile razy nadeszła denuncjacja o ukrywaniu tu lub tam bądź broni, bądź powstańców, starosta Siemianowski wzywał odnośnego oskarżonego do siebie i zawiadamiał go, że nań wniesiono takiej a takiej treści denuncjacją, dodając znacząco: „Spodziewam się, że pan postarasz się aby rewizja, która nastąpi za dwa dni, zadała kłam doniesieniu.“... Jeżeli przestrogi nie mógł udzielić osobiście, znalazł zawsze sposób wczesnego a dyskretnego powiadomienia o rewizji.

Od zaufanej, długoletniej służącej Maksymiljana wiemy, że w roku 1863 kazał sobie na biórku, przy którem w domu najczęściej pracował, położyć srebrne epolety pułkownika Euzebiego i powiesić portret Wincentego Pola, opatrzony jego własnoręcznym wierszem, któryśmy na początku przytoczyli... Taż sama służąca, wręczając mi po śmierci swego pana, pieczęć mosiężną, na której wyryty jest orzeł polski i napis w otoku: „Pieczęć rady gospodarczej batalionu polskiego pułku 14. piechoty“, pochodzącą ze spadku po pułkowniku Siemianowskim, twierdziła, że w czasie powstania, starosta Maksymilian codziennie wyjmował tę pieczęć z biórka i uważnie oglądał... Były to jego narodowe i rodzinne palladia, którcmi się w roku 1863 otaczał.

Posiadam szkic piórkowy, podkładany sepią, przedstawiający napad kozaków na powstańców ukrytych w lesie, szkic robiony z ogromną brawurą, pełen życia i wżycia się w przedstawioną sceną bojową, a wyszedł ten szkic z pod ręki c. k. starosty obwodowego w kwietniu 1863, jak świadczy data na nim umieszczona...

Po śmierci jego znaleziono mnóstwo świstków, na których dorywczo szkicowane były sceny z powstania; słowem, z wszystkiego widać, że Maksymiliana żywo obchodziły losy powstania i że mimo pozornego chłodu, jaki na zewnątrz okazywał, mimo jawnie wypowiadanych zdań o bezowocności powstania i szaleństwie tych, którzy je rozpoczęli, czuł sympatję dla tych szaleńców i to sympatję serdeczną. Już poprzednio opisane okoliczności naprowadzają mnie na ten domysł; utwierdza mnie zaś w tem przekonaniu jeszcze więcej arkusz papieru, leżący przedemną, na którym — pagina fracta — napisane jakieś Amtserinnerung w sprawie rozprawy konkurencyjnej o naprawę budynków plebańskich w Mrzygłodzie, dnia 24. marca odbyć się mającej.

Otóż na drugiej stronie referatu pisanego własną ręką pana starosty; widzę drugi referat tegoż pana starosty, pisany ołówkiem i bardziej od pierwszego ciekawy. Treść jego taka: dwóch tęgich kosynierów i jeden ułan powstańczy, re—

ferują pięciu dragonów moskiewskich, ale to tak siarczyście i jasno referują, że o rezultatach ani wątpić, bo oto jeden z dragonów podaje tył, drugi już ziemię gryzie razem z koniem, trzeciego sięga za kark kosynier, czwartego uczy rozumu ułan a piąty dostaje częstunek od rozmachanego drugiego kosyniera. W figurach powstańców tyle jest zamaszystości, ich ruchy są tak namiętne, zaciekłość walki z taką oddana siłą, że ani wątpić jako szkicujący życzył sobie serdecznie, aby tak było w rzeczywistości, jak on na akcie „urzędownie zreferował...

W roku 1865 mianowano Maksymiliana radcą namiestnictwa z pozostawieniem na dotychczasowej posadzie.

Gdy w roku 1866, po wojnie z Prusami nastąpiła ugoda węgierska, a w r. 1867 nadano Galicji samorząd, przyczem równocześnie poznoszono dawne starostwa obwodowe a zastąpiono je władzami powiatowemi. (późniejszemi starostwami powiatowemi) przeznaczono Maksymiljana na naczelnika powiatu w Sanoku.

Była to rozmyślna degradacja Siemianowskiego – uskuteczniona przez ówczesnego namietnika Galicji hr. Gołuchowskiego, który Maksymiliana z wielu powodów nie lubił. Hrabia namiestnik nie lubił w urzędnikach wyższych samodzielności zdania i przekładał w podwładnych automatyczne maszynki nad ludzi zasad i przekonań — wiedział zaś z czasów dawniejszych, że Siemianowski nie da sobie nigdy narzucić przekonania i zrobi zawsze to, co mu podyktuje wiedza i sumienie. Wiedział nadto, że Siemianowski, znający na wylot usposobienie i zdolności namiestnika, nie pozwoli sobie imponować stanowiskiem, jak tego już raz dał dowód, przy zamianowaniu Gołuchowskiego namiestnikiem.

Wtedy wszyscy starostowie pospieszyli do Lwowa dla złożenia namiestnikowi swego uszanowania i zaprezentowania się temuż — jednego tylko Siemianowskiego nie doczekał się hr. Agenor i to go mocno gniewało. Najwybitniesza osobistość między ówczesnymi wyższymi urzędnikami, człowiek ogromnej wiedzy i inteligencji, nie poniósł mu swego hołdu... a Gołuchowski nie zwykł był zapominać uchybień, choćby drobnych. Musiało zresztą dojść do uszów hr. namiestnika, że nielubiony przezeń Siemianowski ośmielił się często, w rozmowie z różnymi ludźmi rozbierać i krytykować — ba, nawet wady i usterki statutu krajowego wytykać — choć musiał przecież wiedzieć, że to dzieło, w znacznej części było inspirowane przez samego hr. Agenora... Czyż to niedość powodów do degradacji?

Był zresztą jeszcze jeden powód — może najważniejszy — który przeważył szalę niechęci hr. Agenora ku Siemianowskiemu. Powód to i stosunki mało komu znane. Sfery wiedeńskie mając raz zamiar nadania autonomji krajowi oglądały się także za ludźmi, którychby postawić mogły u steru rządu krajowego. Ministerjum ówczesne składali wtedy prawie sami koledzy szkolni Maksymiljana, a nader mu życzliwi, oraz znający jego wybitne zdolności administracyjne. Dano znać hr. Gołuchowskiemu, że rząd ma zamiar mianowania Siemianowskiego wiceprezydentem namiestnictwa galicyjskiego i zapytano jak on się na to zapatruje. Hr. Gołuchowski w tej chwili pojechał do Wiednia, zrobił z nominacji Maksymiliana kwestję pozostania lub porzucenia posady namiestnika, a że był wówczas niezbędnym, dano w Wiedniu za wygraną i poświęcono Siemianowskiogo uporowi hr. Agenora, który odtąd jeszcze niechętniej patrzał na starostę obwodowego i przy pierwszej sposobności — nowej organizacji władz powiatowych w roku 1867, postarał się o poniżenie Siemianowskiego przez przedstawienie go na posadę naczelnika powiatu, wiedząc że Maksymiljan takiej obrazy nie zniesie i poda się do dymisię. Tak się też stało...

Zaledwie Siemianowski otrzymał wiadomość o nominacji swojej na naczelnika powiatu, udał się natychmiast do Wiednia, gdzie wówczas u steru tak zwanego Bürgerministerjum stał jego osobisty przyjaciel dr. Giskra. Przedstawił w ministerjum krzywdę wyrządzoną mu przez hr. Gołuchowskiego i żądał natychmiastowej dymisji. Giskra wszedł w słuszność jego zażaleń i nietylko odradził mu podawanie się o dymisją ale przyrzekł, że całego swego wpływu użyje, aby u korony przeforsować nominacją Siemianowskiego na wiceprezydenta namiestnictwa galicyjskiego. Rozpoczęły się znów poufne rokowania z hr. Gołuchowskim, a gdy ten w obec nacisku ze sfer decydujących, już się nakłaniał do podzielenia władzy z Maksymilianem, wtedy ten ostatni zadowolony ze zwycięztwa moralnego, jakie odniósł nad hr. Gołuchowskim, stanowczo odrzucił propozycje Giskry i formalnie podał się do dymisji. Wiedział on jakieby to było przyjemne urzędowanie obok człowieka, z którym się w wielu zasadniczych kwestjach nie zgadzał, z którym nie sympatyzował. Był nadto niezadowolony z nadania połowicznej autonomji krajowi i już wtedy przewidywał do jakich smutnych rezultatów doprowadzi samorząd gmin wiejskich, na podstawie nowej ustawy gminnej, która według niego, była dobrą dla ludu oświeconego, dorosłego do samrządu, ale zgubną dla ludu ciemnego i małoletniego jak nasz. Nie pomogły perswazje kolegów i przyjaciół politycznych, aby cofnął podanie o dymisją, Siemianowski uparł się przy niej i ostatecznie otrzymał ją.

W styczniu 1868 roku powrócił z Wiednia do Sanoka, jako emerytowany starosta obwodowy i Radca namiestnictwa, i tutaj osiadł stale na resztę życia. Był w Sanoku z dwóch tytułów mieszczaninem. Raz jako urodzony Sanoczanin i właściciel realności, po drugie jako honorowy obywatel miasta, którym to tytułem obdarzyła go Rada gminna, za zasługi położone około dobra miasta.

Ruchliwy to był starzec. Wszędzie się znalazł, gdzie chodziło o zrobienie czegoś dobrego, o danie inicjatywy, o napędzenie drugich do czynu, do posługi obywatelskiej. Energja nie opuszczała go do ostatnich chwil. Dał jej dowody po pożarze Sanoka w roku 1873 jako przewodniczący komitetu wsparcia, dał jej dowody przy zawiązaniu urzędniczego stowarzyszenia zaliczek i oszczędności w Sanoku, które pod jego przewodnictwem świetnie się rozwinęło.

Już jako pensjonowany radca, przedsiębrał z Sanoka kilka wycieczek za granicę i w góry tatrzańskie. Po krótkiej bardzo słabości, dnia 7. kwietnia 1878 roku zakończył życie w rodzinnem mieście mając lat 68. Pochowano go na cmentarzu łyczakowskim we Lwowie, obok brata, bo takie było jego przedśmiertne ostatnie życzenie.

Maksymilian był od r. 1856 członkiem korespondującym Towarzystwa naukowego krakowskiego.

Testament Siemianowskiego datowany z Wiednia 1867 roku, jest napisany po niemiecku, ale zapisuje wszystko Polsce, bo cały majątek przeznacza na stypendja artystyczne i na wsparcie sierot po nauczycielach szkół ludowych, zaś artystyczną spuściznę przekazuje krakowskiej Akademji Umiejętności.

Wychowany w szkołach niemieckich, urzędujący największą część swego życia w Niemczech, mniejszą w kraju, ale po niemiecku, zaprzyjaźniony ze znakomitościami niemieckiemi jako to z hr. Mensdorfem - Pouilly, baronem Paumgartenem, Giskrą, malarzami Pausingerami, Kriehuberem Führiehem, Pettenkoferem, Schwindem — nie umiał Maksymilian dobrze pisać po polsku i zawsze się językiem niemieckim w pismach posługiwał. Mówił po polsku poprawnie, ale znać było, że nie ma wprawy w mówieniu tym językiem, bo ile razy w dyspucie prowadzonej po polsku ożywił się i zaczynał mówić goręcej, namiętniej, wtedy brakowało mu wyrazów — bo był skrępowany i musiał ratować się niemieczczyzną, która w jego ustach traciła swoją szorstkość, ale nadto dziwnego nabierała wdzięku.

O sztuce lubiał mówić tylko z ludźmi znającymi się na sztuce i odczuwającymi piękno w niej. Interesował go żywo rozwój naszego malarstwa narodowego, każdą pracę artystyczną witał z niekłamanym zapałem. Grottgera formalnie ubóstwiał — Matejko budził w nim podziw, Gryglewskiego architektoniczne widoki zachwycały go — Kossakowi i Brandtowi zawsze rysunku koni zazdrościł.

Tryumfy naszych malarzy odnoszone za granicą widocznie go cieszyły, choć zdziwienia nie okazywał. Zwykł był mawiać: „Tego się dawno spodziewałem!... Musimy wypłynąć na wierzch!... My Polacy jesteśmy szelmy zdolne jak rzadko, ale jak rzadko próżniaki!...“ Gdy go się zapytywano dlaczego od roku 1859 przestał malować, odpowiadał: „Jakżeby się teraz wydawały moje bazgroty obok rzeczy doskonałych!... Malowałem dawniej aby pokazać Niemcom, że i my coś potrafimy; — malowałem, bo nikt nie malował, ale teraz gdy jest tylu malarzy i młodszych i lepszych, wstydziłbym tylko kraj mojemi bohomazami. Mając zastępców, przeszedłem w stały stan spoczynku...“

Prac swych artystycznych nie lubił Siemianowski pokazywać nawet zaufanym — były zamknięte w kasecie umyślnie do przechowania ich zrobionej. W tej kasecie mieściły się także prace Franciszka. Mimo ze pozornie lekceważyć się zdawał swoja prace artystyczne — w głębi duszy musiał być przeświadczony o ich wartości, skoro je zapisał Akademji krakowskiej.

Czujemy najlepiej, że życiorys braci Siemianowskich, skreślony powyżej, zawiera wiele niedokładności — wiele spornych kwestji nie rozstrzyga, a najczęściej nie wszystko mu jeszcze odkryć i powiedzieć wolno. Zebranie danych jest nadzwyczaj trudne, ale mimo samowiedzy żeśmy w niejednem pobłądzić mogli, byliśmy zmuszeni odezwać się pierwsi, gdy powołani milczeli, ukrywając przed narodem to, co do niego należy. Znajdą się liczni poprawiacze, może krytycy ostrzy naszego życiorysu. My im tylko wdzięczni być możemy i każdą poprawkę powitamy radośnie, zastrzegając sobie w przyszłości napisanie obszerniejszej pracy,

bardziej szczegółowego życiorysu braci, który oprzemy na dokumentach już posiadanych — dostarczonych nam przez licznych znajomych i przyjaciół braci z Niemiec. Nieomieszkamy także zużytkować korespondencji Maksymiljana z kilku znakomitościami niemieckiemi, oraz własnoręcznych notatek obu braci. Tutaj wyrazić nam przychodzi zdziwienie i żal, że na wezwanie nasze, co do nadsyłania nam wiadomości tyczących się braci Siemianowskich — mimo, że tutaj w kraju mieli rodzinę i znajomych, nikt nam nie dostarczył ani jednej daty, podczas gdy z zagranicy wszyscy wezwani najpochopniej ofiarowali swoje wiadomości.

Skończywszy życiorys, przechodzimy do dzieł artystycznych.

(Dokończenie nastąpi.)

WESOŁE KUMOSZKI Z WINDSORU

Farsa Szekspira.

TRAGEDJA O CUDZOŁOŻNICY

Księcia Brunszwickiego.

POWIEŚCI

Włochów: Straparola i Jana Fiorentini.

STUDIUM

KAZIMIERZA STADNICKIEGO.

W Anglji przechowało się podanie, że królowa Elżbieta, upodobawszy sobie postać Falstafa, jaką Szekspir w dramatach swych historycznych przedstawił, chciała go jako zakochanego na scenie widzieć i temu winniśmy farsę: „Wesołe kumoszki z Windsoru“.

Jeżeli to prawda, a królowa, jak przypuscić należy, obdarzoną była zmysłem estetycznym, natenczas musiała ona czuć się bardzo zawiedzioną w oczekiwaniu swojem.

Falstaf bowiem w tej farsie nie jest to zakochany starzec, co by miało komiczną swą stronę, ani też zarozumiały młokos, pomimo siwych swych włosów, w miłosnych zalotach. Przeciwnie, pomimo wielu komicznych rysów, jest to przedewszystkiem ograniczone, a w finansowym względzie gołe indywiduum, uwikłane w sidła, które mu złośliwie nastawiają, ofiarą takich żartów, że życiem je przypłacić mógł, i które przeto nie śmiech, raczej politowanie, pomimo swej nikczemności, wzbudza.

Szekspir widocznie uchylił się tu od zadania, które przecież komicznej jego żyłe obfite nastręczało pole, i wolał, jak to po części uczynił już w historycznych swych dramatach, głównie przedstawić Falstafa w finansowych kłopotach.

Te kłopoty więc wprowadzają go na myśl, kuszenia cnoty dwóch pań stanu miejskiego, w dojrzałym wieku będących: pani Ford i pani Page. „One mają (mówi) klucze od szkatuły mężów. Będą więc moją Gujanną, mojemi Indjami.“

Pisze on więc równocześnie do dwóch pań jednobrzmiące listy, z miłosnemi oświadczeniami.

Pani Ford ma męża zazdrosnego, pomimo że mu nie daje do tego najmniejszego powodu. Temuż sługa wydalony Falstafa donosi o jego zamiarach.

Zazdrosny mąż, aby dojść prawdy, pod udanem nazwiskiem i w przebraniu, odwiedza Falstafa i zwierza mu się, że kocha niejaką panią Ford. Gdy zaś ona odpycha jego zaloty, udaje on się do niego o pomoc, którą natychmiast workiem złota opłaca.

Niech Falstaf przypuści atak formalny na cnotę pani Ford. Jeżeli mu ulegnie, natenczas i on, wzgardzony dotąd adorator, będzie miał do niej otwarty przystęp, gdyż postawi jej przed oczy, że już raz mężowi przeniewierzyła się!!

Tak postąpił sławetny pan Ford. Falstaf nawet oświadcza, że propozycja owa wydaje mu się dziwną i przewrotną, ale ujęty złotem, przystaje na nią.

Tymczasem panie Ford i Page otrzymały listy Falstafa i, udzieliwszy je sobie wzajemnie, postanawiają zemścić się na nim.

Obie więc dają zlecenie niejakiej mistres „Quikly“, osobie dwuznacznej konduity, zaproszenia Falstafa na schadzkę tajemniczą. Przyczem pani Ford każe służbie, aby wniosła do pokoju wielki kosz z bielizną, *a potem, za pierwszym przez panię danym znakiem, wyniosła go i co się w nim znajdować będzie, wrzuciła do kanału nad Tamizą.* (Akt 3ci 3cia scena.)

Falstaf stawia się najsamprzód u pani Ford na umówioną schadzkę, bo do tego się wobec jej męża zobowiązał. Ale zaledwie zaczął wynurzać jej afekta swoje, wchodzi sługa z doniesieniem, że pan Ford zbliża się z liczną eskortą, aby przedsięwziąć rewizję, gdyż mu doniesiono, że szlachcic pewien ma mieć potajemną schadzkę z żoną jego. Na to Falstaf za poradą pań, kryje się do kosza pod bieliznę. Pan Ford zaś, który przecież Falstafa przekupił, aby tenże rozpoczął romans z jego żoną, przeto najmniej by się dziwić winien, gdyby go u niej zastał, pomimo to w towarzystwie pierwszych osobistości Windsoru wchodzi w największem oburzeniu do mieszkania swego, oddaje klucze onegoż towarzyszom, w celu rewizji, czy tam kto nie ukrywa się, ale nie przeszkadza *wyniesieniu kosza pełnego* z pokoju (3ci akt 3ciz scena).

Zdawcłoby się, że Ford, który wobec honoraciorów Windsoru żonę i cześć domu swego do tego stopnia skalał, toż samo obie damy, co starca, nadmiar otyłego, schowały do kosza, gdzie łatwo udusić się mógł, przestaną na tym żarcie. Ale przeciwnie. Obie damy umawiają dalsze figle i zapraszają Falstafa na drugą potajemną schadzkę.

Ford zaś udaje się znów w przebraniu do Falstafa, który opowiada mu smutną swą przygodę, mianowicie jak go wrzucono do kanału, gdyby jakie wyrzutki mięsa. Gdy Ford dowiaduje się przytem, że Falstaf ukrytym był w jego domu, a więc że chybił sposobność pochwycenia żony na gorącym uczynku, co więcej, że pani Ford Falstafa powtórnie na schadzkę zaprosiła, natenczas znów Falstafa przekupuje, aby przyjął propozycję i żonę jego na drugą próbę wystawił!!!

Tu powtarza się pierwsze zajście. Zaledwie Falstaf stawił się przed panią Ford i rozpoczął miłosne swe zaloty, ukazuje się pan Ford z eskortą, w celu rewizji w swoim domu.

Falstaf musi znowu ujść niepostrzeżenie. Słusznie wzbrania się skryć do kosza. Damy więc ubierają go w kobiece suknie i w tem przebraniu, pod postacią starej czarownicy, znanej w okolicy, przechodzi on obok pana Ford, który go nie poznaje, pomimo widocznej siwej brody, ale zadaje mu kilka plag, z powodu, że mniemana stara baba, mimo zakazu, wstąpiła do jego domu. Rewiduje starannie zaś kosz z bielizną, gdyż za pierwszym razem rywal jego tam się schronił.

Scena ta stoi o wiele wyżej od poprzedzającej, gdzie kosz główną gra rolę. Jest ona lepiej motywowaną, zawiera wiele komicznych rysów, a nie sprawia wrażenia tak przykrego. Bo plagi, które dostały się Falstafowi, były wielce zasłużone, i żałować tylko przychodzi, że i panu Ford nie dostały się.

Ale *trzecia* miłosna próba oczekuje jeszcze Falstafa. Panie Ford i Page dały sobie bowiem słowo, i to pod poręką wierności małżeńskiej i sumienia, mścić się nadal na nim. Tylko że teraz działają w porozumieniu z mężami, bo pan Ford, przekonawszy się o cnocie żony, przestał być zazdrosnym, pan Page zaś daje się wciągnąć w spisek, bo ma nadzieję, że przy tej okazji uda mu się wydać córkę, przeciw woli żony, za tego z konkurentów, któremu on najwięcej sprzyja.

Po raz trzeci więc Falstaf otrzymuje zaproszenie na schadzkę z panią Ford, która na ten raz ma odbyć się w lesie windsorskim, ale z warunkiem, by przyszedł w masce i z rogiem jelenim na głowie: mieszczanie bowiem dają wielki czarodziejski festyn. Umówiono, że skoro Falstaf ukaże się, natenczas dziewczęta, przebrane za gnomów, opaść go mają i kłuć żarzącemi pochodniami. Tak też się stało. Skoro Falstaf zeszedł się z panią Ford, cała zgraja uczestników festynu, czarodziejki, gnomy i dzicy ludzie, otacza go i kłuje światełkami. Nieszczęsny, aby nie być żywcem spalonym, demaskuje się. Teraz spostrzega dopiero, że z niego żartowano. Obsypują go drwinkami, a pan Ford, który nie wstydził się go przekupić, aby cnotę żony swej wypróbować, teraz nie wstydzi się żądać od niego zwrotu danego pieniądza i fantuje mu konie.

Farsę okolicznościową nie należy brać na surową miarę. Może królowa Elżbieta chciała widzieć Falstafa w desperackich, powyżej opisanych sytuacjach na scenie, a poeta, stosując się do tej woli, inne względy estetyczne poświęcić musiał. Dlatego też akcja jest w wysokim stopniu nieprawdopodobną, bieg jej monotonny, intryga niezgrabnie zawiązaną, a osoby działające, z małemi wyjątkami, interesu nie wzbudzają. Do tego wiele odnosi się do ówczesnych miejscowych, małoznaczących wydarzeń. Znakomitości windsorskie są bezwątpienia wiernie skreślone, ale to są portrety, a nie typy komiczne. Lekarz francuski, *Cajus,* musiał ze swoją łamaną angielszczyzną wiele śmiechu w swoim czasie wzbudzać, lecz że jest praojcem tych wszystkich, którzy podobną łamaniną obcych im języków tyle nudów na scenę wnieśli, nie można być Szekspirowi za tę kreację wdzięcznym. Za to Falstaf w tych kilku scenach, gdzie nie występuje czynnie ze swoją flegmatyczną powagą, imponującą postawą wobec otoczenia i owem niezachwianem przekonaniem o wyższości duchowych i cielesnych swych przymiotów, kilkoma rysami po mistrzowsku jest skreślony i taka postać świadczy więcej o sile komicznej autora, niż Falstaf w historycznych dramatach, ów ulubieniec możnego księcia, co

stojąc tak wysoko, mógł łatwo rozpustnemu swemu humorowi cugle puścić.

Ale wesołe kumoszki z Windsoru, pomimo że są tylko farsą, przecież, jak prawie wszystkie sztuki Szekspira, i do głębszych studiów otwierają pole.

I tak wyszło na jaw, że Szekspir pomysł do tej farsy przejął z ówczesnej tragedji księcia brunswickiego, pod tytułem: „Tragedia o cudzołożnicy", oraz z powieści Włochów: Jana Fiorentini i Straparola. Mianowicie w tragedji, mąż zazdrosny, podejrzywając cnotę żony, namawia biednego studenta, aby się udał do niej w zaloty.

Gdy ta pani była już zepsutą, student łatwo znalazł posłuchanie. Mąż, dowiedziawszy się o tem, dostaje pomieszania zmysłów, grzesznica zaś, trapiona wyrzutami sumienia, dusi się i idzie do piekła.

W farsie Szekspira pan Ford używa tego samego fortelu, opłaca nawet kusiciela, ale pomimo że więcej przewinił, gdyż niesłusznie podejrzywał żonę, nie dotyka go nawet za to kara, jaką dopuszcza farsa; przeciwnie, odbiera on nawet grosz swój judaszowy.

Znaczy-że to poprawić i uszlachetnić dzieło poprzednika, jak to zawsze Szekspirowi za zasługę poczytują? Również zajście z koszem mniej razi w tragedji. Młody student mógł się w nim wygodnie ukryć, a raz po za domem, wydobyć z pod bielizny i uciec. Falstaf zaś stary i otyły, był w niebezpieczeństwie uduszenia się w koszu, a prędzej jeszcze w kanale błotnistym, gdzie go wyrzucono.

Ale ten ślizki przedmiot, z jakąż oględnością i delikatnością pędzla obrobionym został w nowelach włoskich. Tu mąż zazdrosny nie najmuje rozpustnego i osławionego starca, aby tenże cnotę żony jego na próbę wystawił. Przeciwnie, tu młodzieniec, który ukończywszy szkoły, bierze teraz lekcje w sztuce kochania *(ars amandi)*, kocha się w żonie swojego nauczyciela, nie wiedząc kto ona jest, i męża jej bierze za powiernika miłostek. Ten, domyślając się prawdy, stawia wychowańcowi swemu różne sidła.

Mianowicie w noweli Włocha Straparola jest jej bohaterem książę następca portugalski, który w takiej niewinności wychowanym był, że mniemа, iż prócz matki i mamki jego, nie ma pięknych kobiet na świecie. Guwerner zaś jego, który ma ładną żonę i tem się chlubi, tłumaczy mu, że są piękniejsze od tych dwóch kobiet i na dowód tego w kościele wskazuje na żonę swą, przemilczając kto ona jest.

Książę zakochał się w pięknej nieznajomej i uzyskał wzajemność oraz przystęp do niej. Gdy zaś zwierza się ze wszystkiego guwernerowi swemu, ten, widząc ile był nieostrożnym, teraz postanawia żonę na gorącym uczynku pochwycić. Ale za każdym razem, co niespodzianie w domu swym pojawia się, żona umie ukryć obecnego księcia, raz w łóżku, drugi raz w szafie, pod bielizną, tak, że mąż, któremu to wszystko wychowaniec opowiada, nakoniec zrozpaczony, ogień pod własny dom podłożył. Lecz i tu chybił celu. Żona bowiem, która księcia tym razem w kufrze skryła, każe podczas pożaru kufer ten wynieść, tłumacząc mężowi, że całe ich mienie tamże złożone. Gdy guwerner z ust rywala dowiedział się, jakim fortelem został ocalony, natenczas postanawia inną drogą winę żony na jaw wyprowadzić.

Urządza więc wielki festyn i zaprasza nań, oprócz wychowańca, krewnych i znajomych. Podczas biesiady dolewa pilnie księciu wina, a gdy sądzi, że go już upoił, wzywa, by wesołą jaką historyjkę gościom opowiedział. Młodzian opowiada awanturę swą miłosną z piękną nieznajomą. Na to żona guwernera, która się temu z obocznego pokoju przysłuchiwała, przesyła mu, gdy był w toku opowiadania, puhar z chłodzącym napojem, a w puharze znajdował się pierścień, który dał jej książę. Ten domyślając się teraz, że ubóstwianą przez niego nieznajomą jest nie kto inny, tylko gospodyni domu, żona guwernera jego, kończy opowiadanie temi słowy: „kogut zapiał, zabłysł dzień, a ja przebudziłem się ze snu mego."

Powieść tego rodzaju nie przystawała do ram farsy ludowej, i kiedy Szekspir postanowił z niej korzystać, musiał ją przeistoczyć. Alež przeistoczenie podobnie delikatnej tkaniny poprzednika, byłoż godnem pióra wielkiego poety?

Nasuwa tu się jeszcze jedna uwaga.

Do zalet „Wesołych kumoszek z Windsoru" liczą i to, że Szekspir wkroczył tu po raz pierwszy w sfery mieszczańskie, które mu dotąd obce były, i że nawet z pewnem zamiłowaniem je portretował.

Nam przeciwnie wydaje się ta farsa jakoby satyra na ówczesny stan mieszczański.

Przedewszystkiem cóż to jest za kwintesencja kolosalnego głupstwa oraz podłości p. Ford. Jeżeli w dramacie Szekspira „Cymbeline" przykre robi wrażenie, gdy Rzymianin „Postumus" wchodzi w zakład z młodym rozpustnikiem o cnotę swojej żony, to postępek Forda jest jeszcze więcej odrażającym, nie mówiąc już o śmieszności przypuszczenia, aby kobieta uczciwa, zamożna mieszczka, mogła mieć z Falstafem miłosny stosunek.

A dopieroż Anglik, dla którego już za czasów królowej Elżbiety dom własny był fortecą, ognisko familijne świątynią, który obce mu osoby i znakomitości Windsoru używa do odszukania kochanka żony, co kryć się ma w jego mieszkaniu.

Ze stanowiska Szekspira, zaciętego Anglika, nie jest-że to istną satyrą, gdy Francuz Kajus, przy tej rewizji obecny, z oburzeniem mówi: „Nie, coś podobnego nie praktykuje się u nas we Francji" (3ci akt 3cia scena).

Cóż to dalej za obraz budujący familijnego pożycia i obyczajności przedstawia się nam w domu państwa Page. O córkę ich Annę starają się trefniś Slender, lekarz Kajus i szlachcic Fenton. Córka kocha Fentona. Ojciec zaś życzy sobie Slendera, a matka lekarza na zięcia.

Ojciec i matka, każde ze swojej strony, potajemnie starają się sprawą tak pokierować: ojciec, aby Slender, matka, aby lekarz córkę ich uwiódł i natychmiast ją poślubił. Ma to nastąpić podczas festynu z maskami, w lesie windsorskim, na którym Anna królowę czarodziejek przedstawiać będzie. Dziewczyna sprytna, poddaje się pozornie woli i ojca i matki, ale wykrywa cały plan Fentonowi, a ten, za umówionem z nią hasłem, porywa ją i ślubuje przed księdzem do tego powołanym.

A więc bal maskowy, czarodziejek i gnomów z Falstafem, jako ofiarnym kozłem, w gęstym lesie, w nocy, porwanie dziewczyny, ślub potajemny; wszystko to są rzeczy, których samo wspomnienie zgrozą przejąć może uczciwego mieszczanina.

Mistres Quikly, jak już mówiono, podejrzanej konduity osoba, ma o każdej godzinie wstęp do pań Ford i Page, nawet u panny Anny (akt 2gi 1sza scena), która zresztą jedyną jest ujmującą postacią w całej tej mieszczańskiej sferze.

Ale za to nie omieszkał autor przez usta tej samej mistres Quikly obyczajność pana Page w złem wystawić świetle (akt 2gi scena 2ga).

Nakoniec panie Ford i Page, które wraz z Falstafem główną w sztuce odgrywają rolę.

Na takie psoty, jakie mu te panie wyrządzają, Falstaf nie zasłużył. Jedyną jego winę stanowią oświadczenia miłosne, które on do nich listownie wystosował. Ale one familiarnością swoją same niejako go do tego upoważniły. Wszak zaraz na wstępie (1szy akt 1sza scena) całuje on panią Ford.

Gdyby przy pierwszej schadzce kosz z bielizną przypadkowo stał w pokoju, a Falstaf za nadejściem pana Ford skrył się do tegoż, całe zajście byłoby w farsie na swojem miejscu. Ale obie panie drwią z otyłości Falstafa, zowią go wielorybem, górą Pelion, a nim jeszcze do nich zawitał, kosz wnieść do pokoju kazały, aby go tam z narażeniem życia włożyć, a potem do kanału wyrzucić!

Przy drugiej schadzce, gdy obie panie przebrały Falstafa w suknie kobiece, by uszedł rewizji pana Ford, pani Page mówi do swej koleżanki: „Niech Bóg poprowadzi Falstafa pod kije twego męża, a szatan niech mu je aplikuje." — A gdy miłosierne jej życzenie spełniono, t. j. pan Ford plagami Falstafa obłożył, znown w nabożnem uniesieniu wykrzykuje: „Kij ten dam święcić i nad ołtarzem powieszę."

Nakoniec obie cieszą się nadzieją, że gnomy podczas festynu kłuć będą pochodniami Falstafa. Zaprawdę, nie są to wesołe, raczej złe kumoszki, i więcej oburza, niż rozwesela naiwna piosnka pani Page:

„Z nas niech biorą przykład, jak można być
wesołą a przytem cnotliwą.
Ta nie chybi, co chętnie żartuje i bawi się.
Przed cichemi wodami bądź na ostrożności."

Przeciwnie, Szekspir nie kryje się bynajmniej z predylekcją swoją dla szlacheckiego stanu. Owszem, stara się tu przy każdej sposobności uwydatnić wyższość tegoż nad mieszczaństwem. Mianowicie odbija się ta dążność w charakterystyce osób działających.

Jedyna osobistość, która wzbudza prawdziwą sympatję, jest szlachcic Fenton. Szlachetny a skromny, przytem szczery, uczciwy, kochający z gruntu serca swoją Annę, ale nie panoszący się tą miłością, słowem: jak właściciel domu zajezdnego pod szyldem „podwiązki", słusznie mówi, że to „zjawisko co pachnie kwietniem i majem", a my dodamy jakie tylko jeden Szekspir ucieleśnić zdoła. Dalej trefniś Slender, sędzia Shallon, pomimo że ten jest przedmiotem satyrycznych wycieczek autora, są z wszelką oględnością szkicowane. Tenże sędzia daje nawet nauczkę panu Ford. Gdy ten zabiera się do drugiej rewizji w domu swoim, „to niedobrze (mówi on), panie Ford, ubliżasz tem sobie". Co

więcej, sam Falstaf, jako ofiara złośliwej kliki, pewne współczucie wzbudza.

A jak wysoko, przy każdej sposobności, ceni autor szlachectwo!

Pani Ford, po pierwszem oświadczeniu miłosnem, mówi: „Gdyby nie to, że waham się pójść do piekła, mogłabym teraz być uszlachconą.“ A Falstaf, aby ująć ją sobie, „niech tylko umrze twój mąż, zostaniesz moją lady“.

Sędzia Shallow, prosząc o rękę Anny Page dla krewnego swego, zaręcza, że będzie obchodził się z nią, jakby ze szlachcianką.

A kiedyż zuchwalstwo szlachty ówczesnej, lekceważenie wszelkich praw i władzy, dobitniej uwidocznione zostały, jak w pierwszej scenie pierwszego aktu.

Falstaf. No, panie Shallow, chcecie zaskarzyć mnie przed królem?

Shallow. Panie rycerzu, biliście moich ludzi, ubiliście mi zwierzynę, napadliście dworek leśniczego.

Falstaf. Ale nie całowałem córki waszego leśniczego.

Shallow. Precz z temi żartami. Musicie się z tego tłumaczyć.

Falstaf. Natychmiast. Dopuściłem się tego wszystkiego; otóż moje tłumaczenie.

Shallow. Zaniosę skargę do tajnej rady.

Falstaf. Radzę wam, przechować tę skargę w gabinecie waszym tajnym. Inaczej wystawicie się na pośmiewisko.

FRAGMENT

Rozwinął bez skazy Bóg pasmo mej doli,
Dał życie, jak niebo bez gwiazd, bez obłoku;
Dzień po dniu, od świtów porannych do zmroku
Za słońcem się wlecze powoli.

Jak blask, co z gwiazd spada tysiącem promieni,
Tak życie chwilkami odemnie odlata;
Bez żalu je żegnam, jak dźwięk, co w przestrzeni
Zamiera, uchodząc ze świata.

W mej księdze życiowej od strony do strony
Wciąż jedna opowieść powszednich wydarzeń;
Nikt na nią nie spojrzy jej treścią zwabiony...
Sam czytam — bez chęci i wrażeń.

Wiem — szczęście, jak perła najrzadszych sióstr godna,
Spoczywa gdzieś w głębi spokojnych wód życia,
Lecz pierwej to morze wyczerpie się do dna,
Nim perłę dobędę z ukrycia.

Wiem — wichry wśród ciszy zrywają się nagle,
Lecz łódź zabezpieczyć z dnia na dzień odwlekam;
Jak żeglarz, co radby rozwinąć już żagle,
Tak wiutru powiewu ja czekam.

Szczęśliwy! — wołają zazdrośni i ślepi —
Omija go burza, cierń nawet nie muśnie,
Niż walczyć i cierpieć, och! stokroć mu lepiej
Spokojem napawać się gnuśnie!...

Czesław.

PANI SOURDI

NOWELLA.

(Ciąg dalszy.)

II.

Pani Sourdi w Paryżu zajęła się urządzeniem mieszkania przy ulicy d'Assas; wielkie okno pracowni wychodziło na drzewa Luksemburskiego ogrodu. Ponieważ środki młodej pary były nie wielkie, to Adela musiała dokazywać cudów, ażeby urządzić wszystko z komfortem, bez wielkich wydatków. Starała się przywiązać do siebie Ferdynanda, przymusić go, ażeby pokochał pracownię. I rzeczywiście, pierwsze chwile pożycia we dwoje, w olbrzymim Paryżu, były prawdziwie zachwycające.

Zima zbliżała się ku końcowi. Pierwsze dni marca były ciepłe i pogodne. Rennequin przybiegł, tylko co dowiedziawszy się o przyjeździe malarza z żoną. Pobranie się ich nie zadziwiło go, choć w ogóle powstawał przeciw małżeństwom między artystami; według niego, zawsze to miało zły skutek, jedno musiało koniecznie zagryźć drugie. Ferdynand zagryzie Adelę i koniec; i tem lepiej dla niego, gdyż potrzebuje pieniędzy. Przecież to wszystko jedno, czy ożenić się z nieładną dziewczyną, czy cierpieć głód i chłód i stołować się w restauracjach za półtora franka.

Wszedłszy do pracowni, Rennequin zobaczył »Spacer« w bogatych ramach stojący na sztalugach na środku pokoju.

— A, a! — zawołał wesoło — przywieźliście z sobą wasze arcydzieło.

Usiadł i znowu zaczął wychwalać delikatność tonu i oryginalność obrazu. Następnie nagle rzekł:

— Spodziewam się, że go poszlecie na wystawę. Ręczę za powodzenie... Przyjechaliście w sam czas.

— I ja mu to radzę — łagodnie powiedziała Adela. — Lecz on się nie decyduje. Chciałby wystąpić z czemś większem i doskonalszem.

Wtedy Rennequin zaczął perorę. Młodzieńcze utwory są święte; być może Ferdynanda nigdy nie nawiedzi już takie natchnienie, taka naiwna śmiałość rysunku. Trzeba być zakamieniałym osłem, ażeby tego nierozumieć. Adela uśmiechała się; zapewne mąż jej pójdzie dalej, spodziewała się, że następne jego obrazy będą jeszcze lepsze; lecz przyjemnie jej było widzieć, że Rennequin stara się rozprószyć dziwną niespokojność, jaka owładnęła Ferdynanda w ostatniej chwili. Postanowiono, że »Spacer« poszła na wystawę; do jej otwarcia pozostawało trzy dni. Co się tyczy przyjęcia obrazu, to rzecz skończona; Rennequin był członkiem komitetu i używał tam wielkiego wpływu.

Na wystawie »Spacer« miał niesłychane powodzenie. Przez całe trzy tygodnie publiczność cisnęła się przed obrazem. Ferdynand, jak to często bywa w Paryżu, od razu stał się znakomitym.

Dla większego powodzenia i krytyka różniła się w poglądach. Ostrych napaści nie było, niektórzy tylko przyczepiali się do szczegółów, za to inni gorąco bronili artystę. Ostatecznie »Spacer« uznany został za dzieło wzorowe i administracja natychmiast zaproponowała zań 6000 franków.

Obraz odznaczał się oryginalnością na tyle właśnie, że zachwycał przesycony smak większości; jednocześnie temperament artysty nie dochodził do stopnia mogącego ludzi rozdraźnić; w rezultacie nowości i siły było w sam raz tyle, ile potrzeba dla publiczności. Krzyczano nawet o zjawieniu się nowej siły; tak podobała się ta równowaga w obrazie.

W tym czasie gdy mąż wywoływał taką furorę wśród publiczności i w prasie, Adela, która także posłała na wystawę swoje próbki, bardzo ładne akwarele, nie zwróciła na siebie uwagi ani ogółu, ani dzienników. Nie zazdrościła wszakże, nie cierpiała nawet na tem jej miłość własna artysty. Całą dumę swoją ześrodkowała na swoim ukochanym Ferdynandzie. W tej milczącej dziewczynie, która do 22. roku życia wegetowała w prowincjonalnem bagnie, w tej zimnej i żółtej mieszczance namiętność wybuchnęła z nadzwyczajną siłą.. Kochała ona Ferdynanda za jego pozłocistą brodę, za jego różową płeć, za grację jego postawy; martwiła się i cierpiała gdy wychodził na czas nawet najkrótszy, bezustannie go śledziła, obawiając się, ażeby nie porwała go jej jaka inna kobieta. Widziała ona dobrze w lustrze wszystkie swoje braki: grubą figurę, twarz bladą. Nie ona, lecz Ferdynand uosabiał piękność; w ich związku przewaga była po jego stronie. Serce jej radowało się na myśl, że wszystko winna jest Ferdynandowi. Jej głowa pracowała; uchyliła czoła przed Ferdynandem jako artystą, i czuła dla niego nieskończoną wdzięczność, uczestniczyła w jego talencie, w jego zwycięztwach, w jego sławie, która i ją opromieniła swym blaskiem. Wszystkie jej marzenia spełniły się nie na niej samej, lecz na istocie, którą kochała jak uczennica, jak matka, jak żona. Nakoniec, dumną była z Ferdynanda jako ze swego dzieła.

W ciągu tych pierwszych dwóch miesięcy, szczęście upiększało pracownię przy ulicy d'Assas. Adela choć uznawała, że wszystko jest winna Ferdynandowi, uznanie to wszakże nie poniżało jej: zadawalniała ją myśl, że to wszystko stworzyła jej ręka. Z łagodnym uśmiechem witała ten rozkwit szczęścia, do którego dążyła, i które pieściła. Mówiła sobie — i myśl ta nie była nikczemną, — że tylko dzięki jej pieniądzom mogło się urzeczywistnić to szczęście. Tym sposobem godziła się ze swem położeniem, uznając jego konieczność. Jej podziw i ubóstwianie, były dobrowolną daniną istoty, gotowej rozpłynąć się na korzyść istoty drugiej, którą poczytuje za swoją własną, którą żyje. Drzewa Laksembursiego ogrodu zieleniły się, spiew ptaków dochodził do pracowni, wraz z ciepłym wiosennym powiewem. Co rano odbierano nowe dzienniki z pochwalnemi artykułami; publiczność rozchwytywała fotografje Ferdynanda, obraz jego reprodukowano na wszelkie możliwe spo-

soby i we wszelkich formatach. I nowożeńcy upajali się tą szumną sławą, widząc z dziecinną radością, że olbrzymi i szumiący Paryż, zajmuje się nimi, podczas gdy oni jedzą śniadanie przy maleńkim stoliku, wśród uroczej ciszy swego schronienia.

Z tem wszystkiem Ferdynand nie zabierał się do pracy. Gorączkowa podnieta, w której żył, nie pozwalała mu, jak mówił, pracować. W ciągu trzech miesięcy codziennie zabierał się przystąpić do wykonania wielkiego obrazu, który obmyślał już dawno; obraz nazywał się *Jezioro* i wyobrażał aleję Bulońskiego lasku, w chwili gdy łańcuch powozów sunie się powoli, oświecony złotym blaskiem zachodu. Kilka konturów już był narzucił, ale natchnienie, które go nawiedziało w dniach ubóstwa i nędzy, nie przychodziło. Dobrobyt, zdawało się, usypiał go; prócz tego nasycał się swoim nagłym tryumfem, jak gdyby bojąc się popsuć go nowemi pracami. Cały czas prawie przepędzał po za domem. Często znikał rano i powracał dopiero wieczorem; dwa czy trzy razy przyszedł do domu bardzo późno. Miał nieskończone pozory do wydalania się: to zwiedzanie pracowni, to wizyta do jakiego znakomitego współczesnego artysty, zbieranie materjałów do przyszłych prac, a szczególniej przyjacielskie obiady. Spotkał tam wielu dawnych kolegów z Lille, był już człowiekiem wielu towarzystw artystycznych. Dzięki temu, zanurzył się w wirze uciech, po których powracał do domu w stanie gorączkowym, gadając głośniej niż zwykle i błyskając oczyma.

Adela nie pozwoliła sobie dotąd ani jednej skargi. Cierpiała bardzo z powodu takiego rozrzuconego życia, które odbierało jej męża i osamotniało ją podczas długich godzin. Ale wymówki czyniła tylko sobie, za swą tęsknotę i obawy: Ferdynand ma swoje interesa; artysta — to nie mieszczanin mogący żyć spokojnie w swoim kąciku; on potrzebuje poznać świat; potrzebuje poświęcić się dla powodzenia. I doświadczała nieledwie zgryzot sumienia za swe wewnętrzne wzburzenie, podczas gdy Ferdynand grając przed nią rolę człowieka umęczonego światowemi obowiązkami, przysięgał, że to wszystko obrzydło mu już do ostateczności i że gotów wszystko poświęcić, byle tylko nigdy nie rozstawać się z żoną.

Raz nawet sama wyprowadziła go za drzwi, gdy udając, nie chciał iść na wesołe śniadanie, na którem miał się poznać z pewnym bardzo bogatym amatorem sztuk pięknych. Potem, zostawszy samą, Adela płakała. Jakkolwiek sobie perswadowała, zawsze przedstawiała sobie Ferdynanda w gronie innych kobiet, czuła że ją oszukuje, i tak się rozdrażniała tą myślą, że musiała kłaść się do łóżka.

Często także po Ferdynanda przychodził Rennequin. Wtedy probowała żartować:

— Będziecie rozsądni, nieprawdaż? Pan wiesz, że ja go poruczam panu.

— No, no, nie bój się! — odpowiadał, śmiejąc się malarz — gdyby go chciano pochwycić, ja będę przy nim... przyniosę ci jego kapelusz i trzcinkę.

Ufała Rennequinowi. Jeżeli już on zabierał Ferdynanda, to widać, że było potrzeba. Przywykała do takiego życia. Z tem wszystkiem jednak z żalem przypominała sobie pierwsze tygodnie paryzkiego ich życia, do chwili wystawy, która spowodowała ten gwar, gdy oboje tak szczęśliwie przepędzali czas razem, w samotnej swojej pracowni. Teraz musiała pracować sama i z zapałem rzuciła się do swoich akwarel, dla zabicia czasu. Gdy tylko Ferdynand zawracał na róg ulicy, kiwnąwszy jej głową ostatni raz na pożegnanie, odchodziła od okna i zabierała się do pracy. A on latał po mieście, wstępywał Bóg wie gdzie, zasiadywał się Bóg wie gdzie, powracał do domu z czerwonemi oczyma, zaledwie trzymając się na nogach ze zmęczenia. Ona zaś cierpliwie, uparcie, przepędzała dnie całe przy swoim małym stoliczku, kopjując szkice przywiezione z Merrceur, miłe pejzaże i czyniła znakomite postępy.

— To zamiast haftów na kanwie — mówiła z wymuszonym uśmiechem.

Raz, wieczorem czekała na Ferdynanda, zdejmując ołówkiem kopję z rysunku, gdy nagle łoskot upadającego ciała, jaki się rozległ pod drzwiami pracowni, przestraszył ją i wstrząsnął. Krzyknęła, zdecydowała się otworzyć drzwi i znalazła się twarz w twarz ze swoim mężem, który starał się powstać na nogi i śmiał się rubasznym śmiechem. Był pijany. Adela, blada jak płótno pomogła mu wstać i trafić do sypialni. Tłumaczył się bełkocząc wyrazy bez związku. Nie mówiąc ani słowa, pomogła mu rozebrać się. Potem, gdy się położył i zasnął, nie położyła się spać, lecz przesiedziała całą noc na krześle, z otwartemi oczyma, pogrążona w zadumie. Zmarszczka zaległa na jej bladem czole. Rano nie powiedziała mu ani słowa o wczorajszej bezwstydnej scenie. Był bardzo zmięszany, chodził jak osowiały, z zapalonemi oczyma i gorączką na ustach. Milczenie żony podwajało jego zmięszanie, tak, że przez dwa dni nie wychodził z domu, potulnie zabrawszy się do pracy, z pilnością studenta, starającego się zagładzić swawolę. Narzucił ogólne kontury obrazu, radząc się Adeli, starając się dać jej poznać o ile ją poważa. Z początku była milcząca i zimna, wcielając się w żywą wymówkę, chociaż wstrzymywała się od najmniejszej alluzji. Potem widząc żal Ferdynanda, napowrót stała się jak zwykle, dobrą; wszystko zostało milcząc przebaczone i zapomniane. Ale na trzeci dzień zjawił się Rennequin i zabrał swego młodego przyjaciela do Café Anglais, na objad z jakimś znakomitym krytykiem; Adela czekała na męża do czwartej godziny rano, który wrócił z podbitem lewem okiem: prawdopodobnie dostał butelką wśród jakiegoś zamięszania. Położyła go do łóżka i przewiązała mu ranę. Rennequin rozstał się z Ferdynandem na bulwarach o jedenastej godzinie.

Odtąd, stało się to regułą: Ferdynand, czy to wychodził na obiad, czy na wieczór, czy też oddalał się pod jakimkolwiek pozorem, za każdym razem powracał w okropnym stanie. Przychodził do domu najkompletniej pijany, upiększony siniakami, przynosząc w ubraniu bezecny zapach alkoholu.

Tonął w monstrualnej rozpuście, dzięki pozornej słabości charakteru. A Adela ciągle milczała, ciągle zajmowała się nim troskliwie z chłodem statui, nie pytając o nic, nie czyniąc mu wymówek za jego bezwstydne prowadzenie się. Przyrządzała mu herbatę, poiła, przyprowadzała wszystko do porządku, nie wołając nikogo, ukrywając swoje położenie, jako hańbę, której pokazywać nie pozwalał jej wstyd. Zresztą o co go miała zapytywać? Za każdym razem z łatwością przedstawiała sobie cały dramat: pijatyka z przyjaciołmi, następnie nocne wycieczki po Paryżu, brudne hulanki. Czasami znajdowała w jego kieszeniach nieznane jej adresy, różnego rodzaju dowody jego prowadzenia się, które natychmiast paliła, niechcąc nic wiedzieć o podobnych rzeczach. Gdy powracał podrapany i zabłocony, obmywała go z dumnem milczeniem, którego on nie śmiał przerywać. Potem, rano, po tych nocach rozpusty, gdy się obudził i widział ją przed sobą w niemem milczeniu, obojgu zdawało się, że przeżyli jakiś sen — marę i życie toczyło się zwykłym trybem.

Raz tylko, Ferdynand, zbudziwszy się w zapale mimowolnej czułości, rzucił się jej na szyję, szlochając i z trudnością wyjąkał:

— Przebacz mi, przebacz!

Lecz ona go odtrąciła, kwaśna, udając zdziwioną.

— Przebaczyć?... Tyś przecie nic złego nie zrobił. Nie robię ci żadnych wyrzutów.

I to uporczywe postanowienie udawania, że się nic nie wie, ta wyższość kobiety panującej nad własnemi namiętnościami, najzupełniej przygnębiały Ferdynanda.

W rzeczywistości, Adela szarpała się z gniewu i oburzenia. Prowadzenie się Ferdynanda burzyło jej nawyknienia do porządku, zaszczepione surowem wychowaniem. Opanowywał ją głęboki wstręt, gdy Ferdynand powracał zarażony rozpustą, a ona musiała dotykać go swojemi rękami i przepędzać resztę nocy w atmosferze jego oddechu. Pogardzała nim. A do pogardy tej przyłączyła się nienawiść do przyjaciół, do kobiet, którzy doprowadzali go do takiego poniżenia. Z rozkoszą słuchałaby przedśmiertnych jęków tych kobiet z trotuaru, przedstawiała je sobie jak czarownice, dziwiąc się dlaczego policja nie oczyści z nich ulice karabinowemi wystrzałami. Miłość jej dla Ferdynanda nie zmniejszyła się; jeżeli człowiek budził w niej wstręt, to uwielbiała artystę; a uwielbienie to było do takiego stopnia bezinteresowne, że jak prawdziwa mieszczanka, napojona legendami o nieporządnem życiu właściwem genjuszom, zapytywała siebie, czy nie powinna uważać rozpusty Ferdynanda za fatalny poziom, na którym rozwijają się wielkie arcydzieła. Jeśli jej ko-

bieca delikatność, jej miłość macierzyńska urażała się zdradą Ferdynanda, to, być może, jeszcze bardziej gorżkie czyniła mu wyrzuty za to, że nie dotrzymał obietnicy pracy, że złamał zawarty między nimi kontrakt, na mocy którego ona obowiązaną była dostarczyć dobrobyt materjalny, a on — sławę; takie złamanie słowa oburzało ją i starała się uratować przynajmniej talent, jeżeli człowiek miał już zginąć. Do tego potrzebowała siły. Powinna była być głową domu.

Nim minął rok, Ferdynand uczuł się w położeniu dziecka. Adela najzupełniej kierowała jego wolą. Była mężczyzną w tej życiowej walce. Za każdem nowem przestępstwem, gdy go pielęgnowała z surowem współczuciem, coraz bardziej poddawał się, odgadując jej wzgardę i kornie pochylając głowę. Nie oszukiwali jedno drugiego: ona była rozumem, uczciwością, siłą, podczas gdy on ugrzązł we wszelkich ułomnościach i ich przywarach; a najbardziej gnębiła go ta lodowatość sędziego, który wie wszystko i posuwa pogardę aż do przebaczenia, nie uważając nawet za stosowne strofować winnego, jak gdyby każdy wyraz o takim hańbiącym przedmiocie, poniżał samego sędziego. Milczała, ażeby pozostać samej na wysokości, ażeby nie zsuwać się i nie zawalać w tem błocie. Gdyby się była gniewała, gdyby mu wyrzucała brudy jego nocnych wycieczek, jak kobieta szarpana zazdrością — zapewne cierpiałby nie tak wiele, nie czułby się zgniecionym jej lodowatą wielkością. Zniżając się — podwyższała by go. Jakim małym, jakim nikczemnym czuł się on przebudzając się na półżywy ze wstydu, przekonany, że ona wie wszystko — i nie raczy nawet wymówić ani jednej skargi.

Jednakże obraz posuwał się; Ferdynand zrozumiał, że talent pozostał jedyną jego siłą. Gdy pracował, Adela napowrót była czułą żoną; wtedy ona, z kolei przymilała się, z uszanowaniem śledziła jego pracę, stając mu za plecami, i tem więcej okazując pokory, im robota jego była lepszą. Wtedy on znowu był panem, znowu był mężem zajmującym należne mu w domu miejsce. Lecz teraz opanowywało go często niezwyciężone lenistwo. Gdy powracał do domu rozbity i wyczerpany życiem jakie prowadził, ręce odmawiały mu posłuszeństwa, ogarniała go zupełna bezsilność; czuł jakiś ciężar w głowie, zdolności jego nie słuchały go. Wtedy przez cały dzień dreptał przed obrazem, chwytał za pędzel i natychmiast wypuszczał go z rąk z gniewem i rozpaczą, albo też zasypiał ciężkim snem na kanapie i budził się dopiero wieczorem z mocnym bolem głowy. Podczas takich dni, Adela patrzała na niego w milczeniu. Chodziła na palcach, starając się nie rozdrażniać jego nerwów, nie trwożyć natchnienia, które bez wątpienia powinno było powrócić; toż ona wierzyła w natchnienie, w niewidzialny ogień, zlatujący przez otwarte okno na czoło artysty. Następnie i ją męczył ten upadek sił; zaczynała niepokoić się myślą, jeszcze niejasną, że Ferdynand może skończyć jako bankrut, jako nieuczciwy wspólnik.

Zbliżał się luty, zbliżał się czas wystawy, a »Jezioro« nie zbliżało się ku końcowi. Pierwsza robota była skończoną, całe płótno było już zamalowane. Lecz tylko niektóre oddzielne części posunęły się naprzód, reszta była niejasna i niezupełna. Nie podobna było posłać obrazu w takim stanie na wystawę. Brakowało mu koniecznego wykończenia, a Ferdynand nie szedł naprzód; gubił się w szczegółach, zamazywał rano to, co namalował wczoraj, rzucał się jak wiewiórka w klatce, bezużytecznie tracił siły w nadaremnem usiłowaniu, ażeby coś stworzyć. Raz Adela wyszła po coś z domu; wracając zmrokiem, usłyszała w nieoświeconej pracowni szlochanie. I zobaczyła męża, nieruchomie siedzącego na krześle przed obrazem.

— Ty płaczesz? — rzekła mocno wzburzona. — Co tobie?

— Nie, nie, nic — wyjąkał.

On siedział już tak całą godzinę, bezmyślnie wpatrzony w obraz, na którym nic już rozróżnić nie mógł. Wszystko zlewało się przed jego mętnym wzrokiem. Robota zdawała mu się bezmyślnym, nędznym chaosem; czuł się sparaliżowanym, słabym jak dziecko, najzupełniej niezdolnym do przyprowadzenia do ładu tej nieporządnej plątaniny barw. Potem, gdy zmrok powoli owinął płótno, gdy wszystko i żywe rysy obrazu pogrążały się w ciemność, jak gdyby ginęły, poczuł śmiertelny żal. Wtedy wybuchnął płaczem.

— Ależ ty płaczesz, ja to czuję — powtórzyła młoda kobieta, dotknąwszy dłonią jego twarzy, zroszonej gorącemi łzami. Czy cierpisz?

Tym razem nie mógł odpowiedzieć. Łzy go znowu dusiły. Wtedy, zapomniawszy o swoim gniewie tajonym, poddając się współczuciu względem tego biednego, bezsilnego człowieka, jak matka, pocałowała go wśród ciemności.

Było to — ostateczne bankructwo.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

LISTY LITERACKIE

TEODORA JESKE-CHOIŃSKIEGO.

Pojęcie klasyczności — Zola apostatą — nowe powieści niemieckie — Gregora Samarowa i Romera powieść — powieść żydowska — larum niemieckich pism w sprawie teatru niemieckiego w Peszcie.

— Mówimy: Mickiewicz, Szyler, Goethe, Byron itd. są klasycznymi poetami. Ale cóż jest klasyczny pisarz? Jakie warunki składają się na stworzenie autora, którego testamentem: eregi monumentum aere perennius itd.? Szyler powiada: wer den besten seiner Zeit genug gethan, der hat gelebt für alle Zeiten. Wszakże i takie określenie wiekopomności spuścizny autorskiej nie wytrzymuje krytyki. Wieluż to „najlepszych" zdolnych zrozumieć wielką, ideami przyszłości napełnioną duszę? Nie jestże raczej większa połowa współczesnego audytorjum owem profanum vulgus, którego smakosz, wielmożny Imci pan Horacy nienawidził.

Taki Szyler np., który dziś od lat wielu, księgarzy bogaci, a młodszej połowie niemieckiego narodu, bezpodzielnie panuje, nie był jeszcze we wigilję swej śmierci, bo rok przed zgonem, popularnym poetą. Wystarcza przerzucić ówczesne krytyki, mianowicie recenzje berlińskiej „Spenerschen Zeitung", aby się przekonać jak mało imię Szylera na pospolity sąd pospolitych krytyków wpływało. Gaminowie krytyczni Berlina pisali o „Die Braut von Messina" i „Wilhelm Tell" jakby o śmiesznostce jakiego gryzmoły. Prawdą jest, że szeregowcy za wozem tryumfatora idąc, bohatera przedrzeźniające śpiewali zwrotki, ale pajacowie wiedzieli przecież, za czyim idą wozem. Zapewne wolno i wielkiego pisarza krytykować, co się też dzieje, boć któryż pisarz jest bezwzględnie poprawny, ale przed uznanym autorem zdejmie i ulicznik literacki nasamprzód kapelusz, zanim za plecami jego język pokaże. Nie musiał być tedy Szyler w chwili śmierci uznanym powszechnie pisarzem, kiedy mu nie tylko za plecami, lecz wprost w twarz język pokazywano, nie myśląc wcale sięgać po kapelusz. A przecież nie sami gaminowie literaccy mieszkali wówczas w Berlinie, nie sami uczeni krytycy, którzy nauczywszy się raz pewnej melodji, powtarzają ją przez całe życie, jak papugi, bo i Tieck i Schlegel do berlińskich literatów należeli. Nie będzie przeto ten klasycznym autorem kto i „najlepszym swego czasu", do których bezsprzecznie Tieck należał, „zadość uczynił." A i Goethe zawdzięczał podobno szacunek, którym go otaczano, więcej wysokiej swej pozycji w hierarchji urzędniczej, aniżeli wyższej godności narodowego pisarza.

Dramata jego nie miały za życia ich twórcy powodzenia, a „Die natürliche Toehter" przepadła w Berlinie z wielkim łoskotem. Wprawdzie rozniosły „Werther's Leiden" imię jego po całym kraju, ale pierwsze kompletne wydanie poety, za życia jego przez Göschena sporządzone, nie znalazło wcale kupców. Za to miał taki Kotzebue, fabrykant lichych fars dramatycznych, odznaczających się jedynie zręczną techniką, więcej powodzenia w jednym roku, aniżeli Goethe i Szyler razem w całem swem życiu. Wszedłże Kotzebue do biblioteki nieśmiertelnych? Wiemy że nie. Ztąd nie będzie i nadzwyczajne powodzenie miarą klasyczności. Toć i taki Vulpius, „naturalny szwagier" Goethego, miał ze swemi straszydłami powieściowemi (Ritter und Räuber-Romane) więcej powodzenia od autora „Fausta." Wiemyż dziś co o Vulpiusie? Chyba z bibliografji. A Szekspir? On, poczciwiec, mniemał, że liryka jego i epika wiecznie trwać będą, a o dramatach ani pomyślał. Już nie pragnął więcej, gdy sztuki jego w mniejszych teatrzykach pospolity widz oklaskiwał. Dziś nie wiemy nic o epiku i liryku Szekspirze, a uwielbiamy dramaturga. A Byron? Jak za wściekłym psem goniła za nim hydra oszczerstwa i brzydka nienawiści wiedźma, a kiedy wieść o śmierci jego do Angli doszła (pisze Bulwer), zamilkł na kilka dni śmiech Albiońskiej wyspy, bo przeczuł naród, że umarł ktoś z krwi jego i kości, na którego z dumą dalekie wskazywać będą pokolenia. Wszakże i Henryka von Kleista nikt za życia nie znał, nie troszczono się nawet o niego, kiedy sobie życie odebrał. Teraz dopie-

*

ro odgrzebują kości największego romantyka Niemiec. Kilka tych przykładów wystarczy do umocnienia twierdzenia: że ani powodzenie ani niepowodzenie za życia autora nie było i nie będzie nigdy miarą rzeczywistej wartości twórczej pracy.

Kiedyż więc staje się autor klasycznym? Historja literatury nie odpowiedziała dotąd na to pytanie naukowem ustalonem określeniem. Nie odpowiedziała i estetyka, zdaje się, że też nikt tego pytania dostatecznie nie rozwiąże, chyba jaki bardzo mądry profesor, mianowicie niemieckich uniwersytetów docent uczony; wiadomo bowiem, że profesor powinien wszystko wiedzieć. My zaś, co nie jesteśmy uczonymi mężami, powiemy: słowo Szylera zbliża się najwięcej do prawdy. Rzeczywiście kto tylko dla „najlepszych“ swego czasu pisze, dla tych, co *mają przeczucie jutra*, choć tego poczucia skrystalizować nie umieją, w czem się od twórców różnią, kto, słowem zebrał w sobie idee, wiejące nad głowami współczesnych, idee, nie przez wielu widziane (przenośnie oczywiście), ten nie będzie miał zwykle uznania za życia, (choć dziś już łatwiej), lecz po śmierci znajdzie audytorjum które się tymczasem z *lotem myśli jego zrównało*: ten będzie klasycznym autorem, czyli pisarzem, po którym *została garść myśli wiecznych*, nieprzemijających ze zmianą formy, gustu, upodobań i zwyczajów. Kiedy takie przejście między klasyków nastąpi? będzie nieustalonym terminem, jak nie szkolarską jest myśl ludzka w ogóle. Bezwiedny instynkt potomnych pozna w przodku proroka, a wtedy wygłosi samowiedna uczoność: oto nowy klasyk! Wynika ztąd, że sąd współczesnych, zwłaszcza gaminów krytycznych talentowi ani pomaga ani szkodzi, że w końcu sam autor nigdy miary swego talentu ocenić nie może, bo dopiero potomni zawyrokują: o ile swój czas przewyższył, albo li też gustom jego służył.

— Pisma literackie rozniosły wiadomość o apostazji Emila Zoli. Zelotyci przeróżni „użyli sobie“, wylewając potoki żółci i przeróżnych frazesowych tyrad. Cóż takiego skrewił paryski naturalista? Przeszedł z „Voltaire'a“ do „Figara“! Spróbujmy Zolę wytłumaczyć. Czy artystę krępują stronnictwa i względy polityczne, a mianowicie koloryt tego lub owego dziennika? Odpowiedzmy zapytaniem: czemże są stronnictwa polityczne? Przetrwało-li choć jedno stronnictwo polityczne przez lat dwadzieścia na tym samym posterunku? Kiedy Napoleon I. wyspę Elbę opuszczał, pisał organ rządowy Paryża: wilk korsykański uciekł z klatki i zbliża się do Francji; kiedy stanął na francuskiej ziemi, witany ludu okrzykami, donosił ten sam organ: jenerał Bonaparte jest w kraju; kiedy pod Grenoble osobą swoją zdobył fortecę, czytano: cesarz wjechał do Grenoble; kiedy się wśród okrzyków ludu do stolicy zbliżał, donoszono: najjaśniejszy pan wraca na swój tron, aby kraj uszczęśliwić itd. Przykład ten ilustruje stronnictwa polityczne w ogóle, a po szczególe kierunek codziennych pism. Powodzenie! oto bożyszcze, któremu się polityka kłania. Andrassy'ego imię przybija kat na szubienicy, a ten sam Andrassy zasiada, 15 lat później, na krześle prezydenta ministrów. Liberały niemieckie burmistrzują przez lat dziesięć w kraju, a dziś, kiedy ich Bismark nie potrzebuje, idą w rupiecie. Dziś palą gazety polityczne kadzidła temu mężowi stanu, jutro owemu, dziś robią tego posła bohaterem, jutro zdrajcą: wszystko dla bieżącej polityki, dla chwilowej potrzeby. Dość wziąć choćby dziesięć roczników pierwszego lepszego organu, aby zawołać: albom ja, czytelnik, idjotą, albo redaktory pisma warjatami! Anim ja idjotą, ani redaktory warjatami: polityka musi zmieniać swe hasła w miarę potrzeb, w miarę układających się stosunków państwowych, bo polityka nie jest sztuką, która nie widzi drobnych zmian, tylko człowieka, wiecznie tego samego. Ale właśnie z tego powodu nie może koloryt tego lub owego pisma *artysty* obowiązywać. On opisuje wszystkich: postępowców, zacofańców, takich, owakich, słowem ludzi. Postacie artysty będą i za lat 20 jeszcze prawdziwymi obrazami, kiedy z kierunku politycznego ani atomu nie pozostało. „Figaro; Voltaire“? Są to dla artysty tylko dwa nagłówki, dwa tytuły; nic więcej, bo artysta tylko za to odpowiada, *co pisze*, a nigdy, gdzie prace swoje umieszcza. Sama zasada artyzmu uniewinnia Zolę. Powtóre: życie nauczyło go tej pogardy chwilowych prądów. Życie? Z pewnością! Jeśli kto, to właśnie ludzie zapalistego, poetyckiego słowa do pracy swej z kapłańskiem przystępują namaszczeniem. Śmiem twierdzić, że każdy artysta prawdziwie utalentowany, choćby był później najwięcej realistą, a nawet pessymistą, z ideałem w sercu pracować zaczyna. Tylko rzemieślnik literacki nie czuje „świętych dreszczów“ tworzenia. Wszakże te święte drzenia milkną w miarę rosnącego doświadczenia, w miarę ustępującego subjektywizmu, a nadchodzącego objektywizmu. Dość napisać kilka książek, dość wczytać się w korespondencje nakładców i redaktorów, pobyć za kulisami dziennikarskich albo księgarskich oficyn niejakiś czas, aby powiedzieć z Heglem, który się uśmiechnął na improwizacje młodego Heine'go, zapatrzonego w migające srebrzyste gwiazdeczki: nie na te gwiazdki, mości Heine, poeto, patrzysz, które są, ale na te, które *chcesz* widzieć. Patrzył-ci Zola dość długo na gwiazdy polityczne, a co tam widział, opowiadał nam w artykule swoim o republikanach. Od czegoż jest realistą, którego dewizą: *nil admirari!?* Jesteśmy ludźmi, a nie ideałami — nie chciejmy tedy, aby nas artysta, który, jeżeli jest psychologiem, bardzo bystro, dobrze i szybko *widzi*, jako ideały apoteozował. Zmieniamy przekonania dla tytułu, orderu albo szpilki brylantowej, jesteśmy dziś wściekłymi demokratami, jutro rojalistami na kilka dni, nie żądajmy tedy od artysty, którego zresztą te drobne sympatje i apatje nic wiele obchodzą, aby służył temu lub owemu stronnictwu.

Po trzecie: rozum kazał Zoli „Voltaire'a“ porzucić. Ładnie mówi się: pracuj dla idei! Kiedy takie bieżące podobające się idee bywają plantacjami dla tego lub owego sprytnego nakładcy, a autorowie murzynami w tych plantacjach. Wiemy o tem wszyscy, cośmy w niejednem tylko piśmie drukowali. Nieśmieszną-li rzeczą bogacić kupca zapałem swoim, serca swego krwią najszlachetniejszą? Zola woli wysokie honoraria „Figara“, niż niewielkie (200 franków za felieton) „Voltaire'a). Nie wolisz szlachcic 10 rubli za żyto od Icka, aniżeli 5 od Mośka? Proszę mi odpowiedzieć? Tyle o Zoli. Nie jestem jego zwolennikiem literackim, bo zdaniem mojem wyjdzie i z nas, Słowian, osobna cywilizacja, nie zgadzam się z *metodą* Zoli, choć *kierunek* jego bezwątpienia do kamieni milowych na drodze ogólno ludzkiej cywilizacji należy, jednakże nie wynika ztąd, abym miał tak zwaną apostazję Zoli potępić. Artysty, umieszczającego swe prace w felietonie, nie obchodzi nic koloryt pisma po nad kreską, nie obchodzi nic imię tego lub owego wydawcy, bo artysta odpowiada tylko za to, co pisze, a nie, gdzie drukuje.

— *Gregor Samarow*, którego, jak wiele innych młodych talentów, niedawno zmarły zacny Edward Hallberger odkrył i na dzisiejszym postawił świeczniku, napisał (wydał w formacie książkowym, bo dziś każdy pisarz przejść musi sutereny dziennikarskie, zanim między księgorobów przejdzie) nową, trzytomową powieść: »*Des Kronprinzen Regiment. Roman von Gregor Samarow. Drei Bände. Stuttgard. Hallberger. 1880.*» Gregor Samarow jest twórcą nowego rodzaju powieści, tak zwanego Staatsromanu. Powieści takie mają tę korzyść dla nakładcy i autora ważną, że zaciekawiają. Osnute na tle współczesnych akcyj politycznych, zakrytych jeszcze przed ciekawem okiem krytycznej historji, mają pretensję odsłaniania właśnie tych tajemnic nieprzystępnych dla ogółu, a w pretensji tej, uzasadnionej lub nie, spoczywa połowa ich powodzenia. W ostatniej powieści cofnął się Samarow o sto lat w tył, na dwór Fryderyka Wilhelma I., króla Prusaków, którego znamy z historji jako gwałtownego, samowolnego i dziwacznego monarchę. Pod piórem Samarowa zamienia się uparty ojciec Wielkiego Fryderyka w poczciwego zrzędę, który niby bezustannie grozi, a właściwie jest uniżonym sługą każdego, kto go umie udobruchać. Wiadomą rzeczą, że ów monarcha jedną miał namiętność: żenił pary, nie pytając się o wzajemny pociąg, o to, co nazywamy zwykle miłością. Słabostkę tę króla wyzyskał Samarow, biorąc z niej pochop do najnowszej swej powieści. Oto zaręcza król kapitana von Wartensleben z panną Marją von Brauneck. Ale panna Brauneck woli młodego Francuza, kawalera de Montbar, który przybył do Prus w celu zrobienia karjery. Jakoż mimo zaręczyn schodzi się z kochankiem pod bokiem króla. Narzucony narzeczony nachodzi gruchających — dalej-że za szpadę — mają się już z Montbar'em nadziewać — wtem zjawia się następca tronu, Fryderyk, i godzi spornych. Kapitan Wartensleben odstępuje, a kochankowie biorą ślub podstępem. Król zżyma się zrazu, w końcu ulega, daje się udobruchać itd... Kto pisał lub czytał powieści, domyśli się, że taki przedmiot nie starczy na trzy tomy. Jest to tło do nowelki, do powiastki, ale nigdy do powieści. Samarow splótł tę malutką osnowę długiemi opisami etykiety dworskiej, zwyczajów, intryg berlińskich, które wcale do rzeczy nie należą, owszem, szkodzą całości jako dziełu artystycznemu, bo przyciskają archeologicznym ciężarem swoim lekką tkaninę beletrystyczną. Nie będziemy tu wyznaczali granic powieści historycznej, lecz gdyby najnowsza powieść Samarowa chciała sobie rościć prawo do historycznego opowiadania, byłoby archeologii i dworologii za wiele. Pisanie *tomów* jest w modzie; nakładca obstaluje dwa albo trzy tomy, więc muszą być napisane. Zapewne, lecz gdy się wleje łyżeczkę bulionu do wiadra wody, to tylko na wierzchu oka zostaną, o bulionie świadczące. Taki rozwodniony bulion dają nam $^{9}/_{10}$ współ-

czesnych pisarzy, bo zapominają, że jak każdej pracy duchowej jedyną wartością jest treść jej, tak i po powieści jedynie *garść myśli* pozostaje, kiedy *forma* dawno innej, modniejszej ustąpiła.

— Więcej ciepła poetycznego wieje z powieści młodego, nieznanego jeszcze autora Römer'a · »*Still und bewegt, von Alexander Römer, Stuttgard, Hallberger, 1880. 2 Bände.*» Młody sędzia Rodenthal, pospolity, lichy człowieczyna, czyhający na karjerę, żeni się, nie rozważywszy poprzednio fatalnego kroku, z dobrą, szlachetną, lecz prostą, nieolśniewającą, bo na wsi wychowaną dziewczyną. A jemu potrzeba błyszczeć, więc romansuje z piękną bankierową, Almą Lanner, modną miasteczka kokietką. Żona dowiaduje się o tem — opuszcza męża: rozwodzą się itd. Nie nowinę opowiedział autor: stare to dzieje. Lecz trudno dziś znaleść nowe tło. Nie chodzi tedy najczęściej o przedmiot, jeno o sposób przedstawienia, o stanowisko autora, z którego na świat patrzy. I przedmiot najwięcej wymłócony da się z innej strony pochwycić. Römer nie umie jeszcze objektywnie i *po swojemu patrzeć*, lecz ma to, co stanowi artystę-pisarza, ma ciepłe słowo, zapał, w końcu bystre oko. Jest tedy nadzieja, że po tej próbie nauczy się i po swojemu stosunki ludzkie oceniać.

— Ruch przeciwżydowski w Niemczech, który jest naturalnym wynikiem całej tak zwanej epoki kulturnej, w której Mośki i Icki, manny, bergi i thalowie rej wodzili, udziela się także i beletrystyce niemieckiej. *I. Thenen* (kobieta, Polka) napisała powieść p. t.: »*Der Wunderrabbi, Roman von I. Thenen. Wien 1880*», której przedmiotem jest walka prawowiernych żydów z postępowymi. Tę ciągłą wojnę chassidimów znamy już dobrze z licznych powieści niemieckich, a i w naszej literaturze znalazła zacięta walka obskurantów mojżeszowego wyznania opisujące pióro (Eliza Orzeszkowa). Był czas, początkujący w pierwszych czasach liberalnego ruchu w Niemczech, kiedy pisarze, wybijający z każdego uciemiężenia kapitał uczuciowy, sprawę żydów apoteozowali. Leopold Kompert jest głównym przedstawicielem rodzaju powieści, znanych pod nazwiskiem »*Judenromane*». Wszelka apoteoza będzie zawsze kierunkiem jednostronnym: nie wyda nigdy dobrych owoców. Śmiem twierdzić, że owa apoteoza „wybranego ludu", który chyba dlatego jest wybranym, że sobie koleją pojedyńcze narody do bezczelnej eksploatacji *wybiera*, sprawiła późniejsze rozpanoszenie się najwięcej egoistycznego pod słońcem plemienia. Apoteozowano żydów, a oni tymczasem kieszenie swe napełniali, wciskając się wszędzie, w każdą możliwą szparę, jak brzydkie pluskwy. Reakcja była nieuchronna i przyszła. Z broszur przechodzi obecnie i do beletrystyki. Powieść pani Thenen jest wyrazem nienawiści do żydów. O ile taka bezwzględna nienawiść uprawniona, nie moją rzeczą ocenić, choćby dlatego, żebym wszystkich żydów na zaludnienie księżyca chętnie posłał, jednakże ze stanowiska krytyka literackiego, nie mogę przyznać uprawnienia takiej nienawiści w powieści. Powieść przestaje być utworem artystycznym, a staje się broszurą, paszkwilem, karykaturą. Nie inna nazwa należy się powieści pani Thenen.

— Niemcom nie podoba się gdy im ktoś powie, że się bez ich cywilizacji obyć można. A powiedzieli to Węgrzy Niemcom bardzo wyraźnie, bo czynem, bo skasowaniem niemieckiego teatru w Peszcie. Instytut ten, istniejący od pierwszych dziesiątek lat bieżącego stulecia, subwencjonowany zrazu przez rząd, a po roku 48, walczący z ustalającą się samowiedzą Węgrów, musiał w końcu *sile* ustąpić.

Zapewne, że sztuka i nauka powinny być wolne od chwilowych prądów politycznych, że niewłaściwie „ukazem" zamykać usta nieboszczykom poetom jakiegokolwiekbądź narodu, lecz niechże Niemcy pamiętają, że się inne ludy bezwzględności od nich nauczyli. Jeżeli kto, łączy właśnie Niemiec z każdą pracą cel polityczny, bo nie pojmuje jak można nie chcieć być Niemcem. Wet tedy za wet. Prawo to kaduka, ale najzrozumialsze na tej ziemi. Posypały się setne artykuły wskutek postąpienia peszteńskiej rady miejskiej, wołającej w niebogłosy na „barbarzyństwo" Węgrów. Nawet pismo zwyle umiarkowane i szerzej patrzące „Magazin für die Literatur des Auslandes" wystąpiło z obszernym artykułem. Gniewa się autor owego artykułu o to, że Węgrzy, którzy niemieckim pismom sławę swą zawdzięczają, pierwsi z germańską cywilizacją wojować na ostre zaczęli. Trochę w tem racji, bo rzeczywiście, gdyby nie niemieccy krytycy, gdyby nie Julian Schmidt i inni, nie wieleby o węgierskiej literaturze wiedziano, która bądź co bądź wcale się jeszcze z literaturą europejską nie zrównała.

Z tajemnic mózgu.

Długo i bardzo długo sprzeczali się uczeni starożytnego i nowożytnego świata o to, gdzie mianowicie jest siedlisko duszy...

Ilu uczonych, tyle zdań...

Sprzeczając się jednak o siedlisko duszy, godzono się powszechnie na jedno, a mianowicie, że głową, to jest mózgiem, człowiek myśli, że tutaj odbywają się procesy uczuć naszych, że każde z nich osobno posiada specjalne nerwowe komórki i z tego też względu wytężano wszystkie siły do zbadania funkcyj tych komórek, oraz składu tego przyrządu, który nazywamy mózgiem.

Przy pomocy cierpliwości, rozumu, mikroskopu i stwardniałych w spirytusie preparatów mózgu udało się anatomom poznać go w zupełności, wyśledzić każdą jego nerwową komórkę i przebieg najcieńszego włókna.

Skalpel i miskroskop zdziałały wszystko, co tylko zdziałać było można, nie zdołały jednak na nieszczęście odkryć funkcyj fizjologicznych, z takiem przeświadczeniem o ich prawdzie, z jakiem do tego doszli anatomowie.

Fizjologja bezustannie pracuje, ale z rumieńcem na swojem naukowem czole powiedzieć może, że nie wiele tutaj jeszcze zrobiła.

Jak bo tu myśleć: jak myśl przeskakuje z jednej nerwowej komórki do drugiej, jak dotyk wytwarza czucie i wyobrażenie przechodzące w wolę, a ta wola w czyn?

Tu mikroskop jest niczem.

Przez długi czas teorja francuskiego fizjologa Flourens'a, panująca w nauce, wedle której mózg miał być organem jednorodnym, spełniającym jedną i tę samą funkcję, nie pozwalała rozwinąć się nowym teorjom i hipotezom na tym punkcie.

W niedawnych dopiero czasach powstała teorja tak zwanych mózgowych lokalizacyj i dzięki znakomitym doświadczeniom na zwierzętach i ludziach takich fizjologów jak Broke, Gitzig, Ferle, Charcot i inni, zyskała sobie obywatelstwo w nauce.

Doświadczenia tych znakomitych fizjologów dowiodły, że teorja Flourens'a nie ma najmniejszej podstawy, że mózg, to nie polip ani gąbka, składająca się z osobników jednorodnych, z których każdy spełnia wszystkie funkcje konieczne dla życia, ale że jest to niezmiernie sztuczna i skomplikowana maszynerja-warsztat, w którym wre życie i praca z surowo przeprowadzoną zasadą podziału tej pracy, że dalej ten mózg nie jest osadą zwierzątek, uorganizowaną wedle niższego typu, ale ideałem państwa, naturalnie nie w sensie pana Bismarka i do niego podobnych, w którem znana centralizacja nie przeszkadza autonomji grup, ale przeciwnie pomaga jej, chroniąc centralną władzę od wielu zbytecznych kłopotów, z któremi nie dało onoby sobie rady...

Jednem słowem, obecnie wiemy już dokładnie, że każda z funkcyj duszy naszej ma swój specjalny, lokalny organ w mózgu, to jest swoje ściśle oznaczone i ograniczone miejsce.

Wprawdzie nie wiele znamy tych miejsc, tych organów właściwych uczuć, dotąd fizjologja odkryła kilka zaledwie...

Ze wszystkich takich organów czyli inaczej jak ich nazywają centrów mózgowych, najlepiej dotąd wystudjowano ten, który zaopatruje zdolność wyrażania myśli słowami.

Wynalezienie tego centra zawdzięcza nauka znakomitemu fizjologowi, anatomowi, chirurgowi i antropologowi Broke, który jako dyrektor jednej z najobszerniejszych klinik paryskich, miał właśnie sposobność dosyć często obserwować chorych z pewnego rodzaju rozstrojem w mowie, zwanym *affazją*.

Taki sam przykład affazji oglądał niedawno świat lekarski w Warszawie przy zranionym doktorze Kurcjuszu.

Przy wypadkach affazji, które się zakończyły śmiercią, wielki fizjolog znajdował zawsze porażenie jednej i tejże samej okolicy mózgu, a mianowicie tylnej części trzeciego czołowego zwoju lewej połowy mózgu.

Dlaczego jednak czynność ta przywiązaną jest do tylnej części trzeciego czołowego zwoju?

Od mózgu bieży mnóstwo grubszych i cieńszych sznureczków i nitek: są to telegraficzne druty ze wszystkich punktów naszego ciała do władzy naczelnej przeprowadzone.

Jedne z tych nerwów raportują natychmiast mózgowi o tem co się zdarzyło, drugie przesyłają rozporządzenia pracy, skracanie tej lub innej grupy mięśni; pierwsze nazywają się nerwami czuciowemi, drugie ruchowemi.

Nerwy te wchodzą do mózgu i tak są tam urządzone, że zaopatrujące lewą połowę ciała, mają swe przyczepienie na prawej półkuli mózgu, zaopatrujące zaś prawą, na lewej.

Czy to pod wpływem otaczających nas okoliczności, czy skutkiem dziedziczności po ojcach, dziadach i pradziadach, z małymi bardzo wyjątkami, wszyscy od samego dzieciństwa używamy ręki prawej, a więc w następstwie i lewej półkuli mózgu, kierującej czynnościami prawej ręki.

Ręka — jeden z ważniejszych organów ludzkich — służy dla najróżnorodniejszych celów; rze-

czą jest więc bardzo łatwą dla zrozumienia, że działaniu tego organu twarzyszy zawsze — rozmyślanie i psychiczny kierunek.

Dźwigamy, pracujemy, giestykulujemy i dotykamy przeważnie ręką prawą, i ręka ta dostarcza wielką ilość wrażeń do odpowiedniej półkuli mózgu, wzbudzając w niej wiele myśli i uczuć — więcej aniżeli wytwarza się w prawej połowie mózgu pod wpływem czynności ręki lewej.

Dla tego w lewej półkuli daleko wcześniej rozwinąć się muszą centry moralnych funkcyj, niż w prawej a w tej liczbie i centr mowy.

A że centr ten według wszelkiego prawdopodobieństwa jest nieparzystym, to w prawej półkuli mózgu nie rozwija się on wcale, a u mańkutów powinniśmy znaleść rzecz przeciwnie.

Wszystko to, cośmy powiedzieli, nie jest hipotezą — ale pewnikiem opartym na faktach klinicznych.

Oto przykład...

Do kliniki Broka przyprowadzono chorego ranionego w lewą połowę głowy i następnie pozbawionego zdolności mówienia.

Brok natychmiast schwycił trepan — to jest chirurgiczny świder — w miejscu, gdzie znajduje się właśnie ów centr, wywiercił dziurę, a pod kością w mózgu znalazł kawałek drzazgi kostnej; wyjął ją natychmiast delikatnie, a chory mowę odzyskał.

Do chwili obecnej znajdowali się jednak sceptycy, którym trepanacja dla dowiedzenia faktu nie wystarczała — domagali się więc koniecznie takich doświadczeń, żeby je mogli powtarzać często i przy których bezustannie mogliby ten fakt stwierdzać.

Niedowiarstwo to znaczyło: trzeba wyzywać afazję u człowieka, lub zwierząt, drażnieniem odpowiednich miejsc mózgu, a wtedy dopiero można będzie dowieść lokalizacji organu mowy.

Człowiekowi jednak nie wolno wbijać do głowy igieł — a zwierzęta nie mówią, doświadczenia więc takie bujały w granicach niemożebności.

Profesor Charcot, dyrektor de *Salpetrière*, świeżo wynalazł sposób przekonania niewierzących doświadczeniami nad mózgiem człowieka żywego i dowiódł drogą eksperymentalną, że rzeczywiście centr mowy ludzkiej znajduje się w lewej półkuli mózgu; szpital, jakim ten znakomity profesor kieruje, jest specjalnie szpitalem przeznaczonym dla kobiet.

Histeryczki odznaczają się niezwykłą drażliwością systemu nerwowego.

One to posłużyły profesorowi za osobniki do doświadczeń; dokonał więc na nich wiele bardzo ciekawych i pouczających eksperymentów, które wywołały wielkie wrażenie nie tylko między światem doktorskim — ale nawet i między szerszemi kołami publiczności.

Profesor Charcot znalazł, iż histeryczka wystawiona na działanie światła elektrycznego wpada w stan kataleptyczny, w czasie którego można jej nadać stan dowolny.

Z katalepsji bardzo łatwą jest rzeczą przeprowadzić pacjentkę w stan somnambulizmu albo letargu; wystarcza na to zagasić światło elektryczne, lub zasunąć ręką powieki chorej, a wpadnie natychmiast w stan półsenny.

Wtedy wszystkie członki wolnieją — czucie powraca a nawet potęguje się — wola niknie zupełnie i indywiduum, z którem wykonywa się doświadczenie, nie zdolnem jest do żadnego samoistnego ruchu.

Odpowiada jednak na głośne, natarczywe pytania, chodzi z rozkazu eksperymentatora, czyta, deklamuje, pisze za dyktandą, rysuje itd.

Aby ją przeprowadzić w stan katalepsji znowu, wystarcza otworzyć powieki — w zwykły zaś stan — wystarcza dmuchnięcie w twarz.

Doświadczający może tak urządzić doświadczenia, że jedna połowa ciała histeryczki będzie się znajdować w stanie somnambulicznym, druga zaś w stanie katalepsji.

Pacjentkę kataleptyzuje się najpierw, skierowawszy na nią promienie elektrycznego światła, następnie przeprowadza się ją w stan somnambuliczny, zamykając jej oczy, potem otwiera się jej jedno oko, wtedy po stronie otwartego oka zobaczymy zupełną katalepsję, nieruchomość — po stronie zaś zamkniętego somnambulizm zupełny — zwiększoną drażliwość i rozwolnienie członków.

I tutaj właśnie wyraźnie bardzo okazuje się różnica w działaniu prawej i lewej połowy mózgu.

Objawy otrzymuje się różne, odpowiednio do tego, po której stronie znajduje się katalepsja, a po której somnambulizm.

Jeśli otworzymy lewe oko, a więc lewa strona pozostanie w katalepsji — pacjentka może odpowiadać na wszystkie pytania; lecz jeśli otworzymy oko prawe — pacjentka tego uczynić nie jest w stanie.

Doświadczenia robiono w ten sposób, iż kataleptyzowanej histeryczce kazano liczyć, następnie otwierano i zamykano kolejno oczy; przy zamknięciu prawego oka pacjentka liczy — gdy jednak zamkniemy lewe, natychmiast przestaje.

Wyżej powiedzieliśmy o krzyżowaniu się nerwów; jeżeli kataleptyzujemy stronę prawą ciała, a więc i lewą półkulę mózgu, gdzie się znajduje centr mowy, wtedy pacjentka mówić nie może, przeciwnie jeśli kataleptyzujemy stronę lewą.

Doświadczenie to dostarcza nowego sposobu badań funkcyj mózgu, i dowodzi, że prędzej czy później urządzenie tego mechanizmu stanie się dla nas jasnem.

Z wypadków afazję leczących za pośrednictwem trepanacji wnioskować można, że przyjdzie chwila, iż mózg będziemy mogli naprawiać!

Być może, iż nastanie czas, kiedy poznawszy wszystkie centry mózgowe, znajdziemy i środki powiększenia jego rozwoju za pomocą pedagogicznej i psychicznej jakiejś gimnastyki; nauczymy się mówić, a więc i myśleć nietylko jedną połową mózgu, jak obecnie, ale dwoma — wreszcie będziemy w możności robić głupich ludzi mądrymi — mądrych — utalentowanymi i genjalnymi.

Dr. B. K.

Kronika Tygodniowa.

(B) Gdybym już nie był kronikarzem tak poczytnego i tak wysoce szanowanego pisma, jakim jest nasz „Tydzień," (musimy sobie sami oddać tę sprawiedliwość, kiedy inni uporczywie milczą) to w obecnej chwili chciałbym być wiatrem... Ot wyrwało mu się! — powiedzą czytelnicy, ni to ni owo, szczęście, że w liczbie pojedyńczej, — a ja taki, mówiąc po lwowsku upieram się przy swojem, że chciałbym być wiatrem i jestem przekonany zrobiłbym lepszy interes niż pewien sekretarz pewnego wielkiego banku, który jak się pokazuje wybornie znał się na wiatrach. Śmieli się z niego, przedstawiali w karykaturach, pisali humoreski i mieli za baj bardzo, a on taki wypłynął na wierzch na owych wiatrach i rznie artykuły polityczno-handlowe w obronie już nie wiatrów ale nosów, które się znają na nich.

Moje pragnienia jednak nie sięgają tak wysoko jak naprzykład do pokojów gubernatorskich, wietrzne moje intencje mają więcej sielankowe znaczenie. Ja chciałbym w tej mroźnej chwili (nie politycznej broń Boże, bo ta jest najłagodniejsza, jeżeli myśli o zakładaniu szpitala wojennego we Lwowie, ale atmosferycznej) wciskać się pod woalki chodzących po ulicach piękności i muskać w ten sposób delikatne ich twarzyczki, żeby się aż zarumieniły.

Wiatr zimowy podobno pozwala sobie więcej — słyszałem, że poważa się całować niewinne buziaki, — ja poprzestałbym na zarumienieniu, z którem tak ładnie zawsze czytelniczkom „Tygodnia". — O inne, przyznaję się nie tylebym dbał, i nie ręczę czybym się nie zemścił na ich nosach, doprowadzając je do fioletowej siności właśnie za to, że moich kronik nie czytają. Tak jest, zrobię to niezawodnie pomimo wszelkich prezerwatyw pana Ihnatowicza, zrobię przez zemstę za obrażoną miłość własną kronikarza. — Proszę sobie to zapamiętać!

Odbywszy ten arcy miły obowiązek względem ślicznych buziaków Lwowianek, puściłbym się na szersze pole wielkiej galicyjskiej polityki, aby z górnych sfer wiedeńskich powziąć języka, kto też zostanie naszym krajowym marszałkiem?

Dwie rzeczy, to jest marszałkostwo krajowe i dyrekcja komedji w Teatrze skarbkowskim, już od kilku tygodni jak zmora jaka duszą ciekawość lwowską. Proszę mię nie podejrzywać o jakąś misję wsteczną, że razem zestawiły się tutaj obie te posady. Prawda, stanęły one obok siebie, ale zapewniam uroczyście, nie mają nic wspólnego: tu rzecz traktuje się na serjo, a tu bądź co bądź idzie o zabawę publiczną; więc też na posadę reprezentanta polityki autonomicznej dotąd wymieniano jedynastu kandydatów, a na reprezentanta sztuki narodowej zgłosiło się tylko trzech. A są jeszcze tacy złośliwi humoryści, którzy nam zarzucają lekkomyślność narodową!

Otóż gdybym mógł na skrzykłach swoich przynieść pożądaną wiadomość, kto będzie marszałkiem, ucieszyłbym setki skołatanych serc, interesowanych, które wiedziałyby nareszcie czego się trzymać i gdzie skłaniać przyszłe ukłony. A tak pozostając wciąż w niepewności, cóż ci biedacy nienakręcą swych chorągiewek w tę i ową stronę, jak tylko nowy wiatr z Wiednia przyniesie nowego, a zawsze pewnego już kandydata. Doprawdy, trzeba się dziwić okrucieństwu sfer decydujących, jak mogą z takim spokojem roznerwowywać tych przyszłych satelitów marszałkowskich, którzy od godziny do godziny przechodzić muszą za życia przez piekło, niepewni w którą stronę mają skierować swoje attencje... Powiadają, że już po aptekach zabrakło kropel laurowych a fizykat miejski

notuje prawdziwą epidemję chorób nerwowych.

Taż sama historja, choć w nie tak groźny sposób ma miejsce, gdy idzie o odgadnięcie kto się utrzyma przy dyrekcji teatru lwowskiego. Za żadne skarby świata nie chciałbym w tej chwili być kuratorją czy Radą fundacji skarbkowskiej, nie z powodu owych drobiazgowych nieporządków kasowych, bo te się podobno z korzyścią (to jest bez straty) dla fundacji ułożą, ale z powodu wyboru owej oferty jednego z trzech kandydatów na dzierżawę teatru. Trzeba nieszczęścia, że właśnie po tych drobnych nieprawidłowościach kasowych, dwa wychodzące u nas niezależne dzienniki, dotąd idące zgodnie z sobą, w wielu sprawach obchodzących dobro publiczne. — stanęły sztorcem naprzeciw siebie... Ta skromna, niewinna fundacja, trzymająca się dotąd *biernie*, któraby chciała, aby świat o niej zapomniał że żyje lub egzystuje, naraz widzi przed sobą Scyllę i Charybdę... Poty biją na człowieka, jak pomyśli o tem, jak ta biedaczka będzie lawirować.. pan Dobrzański i pan Miłaszewski! Gazeta Narodowa i Dziennik Polski, i jak chcesz pukaj w palce, z któregobądź końca zaczniesz, zawsze toż samo. A tu panie jeszcze Strażnica stoi na straży i od kilku tygodni zaciąga armatę Krupa, ustawia, nabija, celuje i trzyma lont gotowy do zapalenia.. Dalej, na dobitkę wszystkiego po kawiarniach aż ściany się trzęsą od gorących dyskusyj za tą lub za ową stroną: stają zakłady, podpisują się petycje, więc bądźże tu Salomonem i roztrząśnij ten spór; bądź tu najzręczniejszą kokietką i wybrnij z tej matni konkurentów bez ich obrazy... Cała uwaga publiczna, a zatem i nasza, z natężeniem oczekuje wyroku, o którym kto wie czy w przyszłym tygodniu nie przyjdzie nam już donieść szanownym czytelnikom.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura.

*** Odczyty Włodzimierza Spasowicza o „Władysławie Syrokomli" i o „Wincentym Polu", które w swoim czasie tyle zyskały rozgłosu i namiętnej oceny ze strony konserwatywnej a niemniej gorącej obrony pism postępowych, wyjdą wkrótce z druku w osobnem wydaniu we Lwowie i publiczność będzie miała sposobność ocenić ile było prawdy w tych krytykach i po czyjej stronie słuszność. Nasze zdanie o tych znakomitych pracach wypowiedzieliśmy w swoim czasie To rozdwojenie opinji przy ocenianiu rzeczonych prac Spasowicza pochodzi ztąd, że autor zapuścił sondę krytyczną głęboko i ocenił utwory ulubionych poetów nie tylko ze stanowiska literackiego, lecz i społecznego, że wykazał obok dodatnich i ujemne strony ich pism, a że w pismach tych autorowie hołdowali przekonaniom wyznawanym przez ogół społeczeństwa, więc właściwie wytknął wady i przesądy społeczne. Ponieważ epoka działalności Syrokomli i Pola nie jest od czasów dzisiejszych zbyt oddaloną i społeczeństwo nie pozbyło się jeszcze tych przesądów, które wówczas je nurtowały, ztąd dotknięte do żywego przez prelegenta, podniosło w dziennikarstwie wielki alarm, którego echa powtarzają się jeszcze do dziś dnia. Odczyty te były drukowane w warszawskim miesięczniku „Ateneum", który jest u nas mało rozpowszechnionym; wyjście więc ich w osobnych odbitkach było bardzo pożądanem, gdyż poglądy tak znakomitego autora powinne być ogółowi znane.

*** „Pracuj a Bóg ci dopomoże" F. Hoffmana, w tłumaczeniu polskiem Romualda Starkla, opuściło prasę w znanej Bibliotece dla młodzieży jako 19 tomik tego wydawnictwa. Ładna ta książeczka została bardzo pięknym językiem przetłumaczona i zasługuje na rozpowszechnienie między dziatwą, której przedstawi wzór godny naśladowania chłopca, który wytrwałą pracą prawie o własnych siłach zdobył sobie stanowisko w społeczeństwie i wydźwignął z nędzy swoją matkę

*** Jedna ze znanych warszawskich nauczycielek, p. Zuzanna Morawska, której pożyteczne prace spotykaliśmy w „Przyjacielu Dzieci", wydała obecnie część pierwszą trafnie zastosowanej do pojęcia dzieci metody poglądowej, p. t.: „Pogadanki z dziećmi."

Autorka, przeznaczywszy swą pracę dla dzieci wieku lat 5 do 7, w umiejętnie prowadzonych z niemi rozmowach wpływa na rozwój młodocianych umysłów.

Część druga dla dzieci od 7 do 10 lat wkrótce ukaże się w druku.

*** Wkrótce wyjdą oddzielne szkice p. Wiktora Gomulickiego, po części już drukowane w pismach, po części oryginalne p. t. „Warszawa przy słońcu i gazie" — z ilustracjami.

*** Pierwszy zeszyt „Historji filozofii i jej znaczenia w teraźniejszości" przez Fryderyka Alberta Langego, w przekładzie Aleksandra Świętochowskiego, ukazał się z druku w Warszawie.

*** Dwunasty zeszyt Słownika Geograficznego wyszedł z pod prasy. Zawiera on w porządku alfabetycznym wyrazy od Czulkieniszki do Dereneczna.

*** „Biesiada literacka" przeszła, jak donosi „Wiek". na własność jej dotychczasowego redaktora, Władysława Maleszewskiego.

*** W Londynie ukazało się nowe dzieło Karola Darwina p. t.: „The power of movement in plants."

*** W Lipsku firma Lorentza rozpoczyna od 1. stycznia r. p. wydawnictwo „Bibljografji słowiańskiej", w której specjalny dział przeznaczonym będzie na literaturę polską.

Wezwano kilka osób z Warszawy o współpracownictwo.

Jest nadzieja, że publikacja rzeczona odznaczać się będzie ścisłością i może być dla Niemców o tyle użyteczną, iż przestaną przekręcać nazwiska nasze i tytuły dzieł.

*** W Tryjeście spółka banków wiedeńskich zakłada niemiecki dziennik, którego pierwszy numer ukazać się ma na nowy rok.

*** Nowy romans Beaconsfielda „Endymion", zajmuje więcej obecnie społeczeństwo angielskie, niż sama polityka Gladstona. Endymion, bohater romansu, jest biednym młodzieńcem, przebijającym się ciężko przez życie i w końcu po wielu walkach, trudach i cierpieniach staje na wysokiej pozycji państwowej. Wszystkie inne osoby występujące w romansie, pod różnemi nazwiskami, mają przedstawiać różne wybitne osobistości europejskie jak Rotschild, królowa Hortensja, Napoleon III., lord Palmerston i wielu innych.

*** Wychodzące w Londynie wielkie illustrowane pismo „The Graphic" wydaje corocznie „na gwiazdkę" osobny numer.

Tegoroczny numer wyjdzie w 400,000 egzemplarzach.

Nad tym jednym numerem pracowało 450 osób, pisarzy, artystów, rytowników i drukarzy, i to od czterech miesięcy.

Honorarja dla samych literatów i artystów za ten numer „gwiazdkowy" wynoszą tylko 75,000 franków; papier kosztuje 125.000 franków, i waży 122,000 kilogramów!

Sporządzenie klisz i inne wydatki pochłoną sumę 150,000 franków.

Wydawnictwo więc tego jednego numeru kosztować będzie 300,000 franków.

Sztuki Piękne.

*** Na wystawę Warszawskiego Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych przybyły w upłynionym tygodniu następujące obrazy: Andrzejkiewicz Magdaleny „Tatarzy grają w kości o zdobycz". Grabowskiego Adrzeja „Portret księcia Adama Sapiechy". Łosia Włodzimierza „Na stepie". Maleckiego Władysława „Z nad Wisły". Maszyńskiego Juljana „Wczesna wiosna". Streitta Franciszka „Piastnnka". Strzałeckiego Wandalina dwa obrazy „Lisowczyki przed gospodą" i na skraju lasu"; Wisłockiej Anieli „Ali Naghi".

*** P Fr. L. Hovorka pisze w ostatnim numerze swoich *Divadelnich listów,* iż p. Ludwik Grabowski przeznaczył 2.000 złp. na dramat czeski, mający być grany w teatrze narodowym w Pradze.

Osnowa tego dramatu ma być wzięta z życia słowiańskiego, bohater zaś utworu winien być wyobrazicielem myśli zjednoczenia wszystkich słowian lub przynajmniej jednego plemienia słowiańskiego pod jedną władzą.

*** Czeski *Svetozor* podał podług rysunku Andriolego widok spichlerza w Sandomierzu.

*** Księgarnia Karola Wilda we Lwowie wydała nader udatne tańce Br. Rakowieckiego, a mianowicie „En carriere" galop, „Fantasmagorje" walce i „Dawne czasy" mazury.

*** Nakładem krakowskiej księgarni S. A. Krzyżanowskiego ukazał się „Polonez cesarski" kompozycji Kazimierza Hoffmana, fortepianisty, autora „Żaków" i długoletniego kierownika, a powiedzieć można twórcy operetki w Krakowie.

P. Hoffman od pewnego czasu osiedlił się stale w Warszawie jako nauczyciel muzyki; podobno powierzoną ma być mu posada drugiego dyrygenta orkiestry baletu w teatrze wielkim.

*** Przybyła do Warszawy pianistka hr. Schmettow-Gyertaffy, z sześcioletnią córką swą Desirée, śpiewaczką.

Matka i dziecię jej mają zamiar dać się słyszeć publicznie.

Wiadomości społeczne i ekonomiczne.

*** O rozmiarach zniszczenia, jakie zrządziło trzęsienie ziemi w Zagrzebiu, mamy nareszcie pewne daty w następującym telegramie burmistrza zagrzebskiego do burmistrza pragskiego: „Wskutek katastrofy z d. 9. b. m. dwie osoby utraciły życie. 23 zostało skaleczonych. Ani jednego domu nie ma nieuszkodzonego, a dwie trzecie ogólnej liczby domów znacznie ucierpiało. Sześć świątyń musieliśmy zamknąć. Czterysta rodzin pozostało bez dachu. Wielu mieszkańcom zbywa na najważniejszych środkach do życia. Potrzeba jest rzeczywiście wielka."

*** Najnowsze sprawozdania z Irlandji brzmią ciągle jeszcze niepomyślnie; pod kierunkiem ligi rolnej dopełniane są niemal codziennie nowe morderstwa, podpalania, rozsyłane są listy z groźbami i tym podobne czyny zemsty.

*** Gdy dowóz świeżego mięsa z Australji do Londynu okazał się możliwym, przedsięwzięte być mają urządzenia, pozwalające angielską stolicę zaopatrywać co tydzień w 6.000 centnarów takiego mięsa.

*** We Francji w wielu miastach kobiety klerykalne utworzyły związek, którego członkowie zobowiązują się nie dawać żadnych zabaw, oraz zamknąć swoje salony dla mężczyzn stojących w związku z rządem, a przy zakupach i zamówieniach ograniczyć się na sklepach gorliwych katolików.

*** Małżeństwo syna Piotra Bonapartego z córką dzierżawcy domu gry Blanca stało się od kilku dni przedmiotem polemiki dziennikarskiej. Rodzina Blanca wydała 40.000 franków, aby dzienniki skłonić do przychylnego wystąpienia a przynajmniej do milczenia. Panna Blanc wnosi swemu mężowi w posagu miljon renty rocznej i dziesiątą część wpływów z domu gry w Monaco. Oprócz tego Bonaparte otrzymał dziewięć miljonów, któremi może dowolnie rozporządzać. Słychać, iż rządy europejskie zamierzają poczynić wspólne kroki celem zamknięcia domu gry w Monaco.

ROZMAITOŚCI.

Ibsen-Verne-Rubinstein.

Przypadek zrządził, że jednocześnie różne pisma zagraniczne przytoczyły ciekawe szczegóły z życia prywatnego trzech sławnych mężów, nie mających wprawdzie nic wspólnego ze sobą, lecz jednakowo zwracających na siebie powszechną uwagę. Pierwszym z nich jest szwedzki dramaturg Ibsen, którego „Nora“ obecnie rozdzieliła na dwa obozy cały świat estetyczno-krytyczny, w drugim witamy pełnego fantazji twórcę podróży na księżyc i pod ziemię, Juliusza Verne'a, którego udramatyzowana baśń „Michel Stragoff“ stanowi najnowsze teatralne zjawisko Paryża; trzecim zaś z tej przypadkowej trójcy jest Antoni Rubinstein, sławny kompozytor, zbierający obecnie zasłużone laury w Niemczech.

Tajemnice prywatnego życia autora „Nory“ zdradził w jednym z najświeższych numerów tygodnika *Deutsches Montagsblatt* młody norwegski pisarz John Paulsen.

Henryk Ibsen mieszka w Monachium na Amalienstrasse w bliskości uniwersytetu. Poeta obrał sobie tę ustroń ze względu na swego syna, który uczęszcza do kolegium. Pierwsza rzecz, która uderza każdego w mieszkaniu Ibsena jest ogromna ilość obrazów, któremi od sufitu do podłogi pokryte są ściany salonu, jadalni i gabinetu szwedzkiego dramaturga. Ibsen nie tylko jest miłośnikiem sztuki, lecz pierwiastkowo chciał sam zostać malarzem i przez czas jakiś władał pędzlem. Dopiero stosunkowo dość późno poznał swój właściwy talent... Pracownia Ibsena jest nadzwyczaj mała i bardzo skromnie urządzona. Niewielkie biurko, na którem zazwyczaj leżą najnowsze utwory jego ojczystej literatury, kilka krzeseł, szafa do książek — oto wszystko.

Napróżno szukać tu będziemy akcesorjów, cechujących specjalnie gabinety autorów: nie ma tu tego stereotypowego olbrzymiego biurka z niezliczonem mnóstwem szuflad i skrytek, nie ma tych składów piór stalowych i gęsich, rozlicznych gatunków papieru, starych fotografij i sztychów, nie widać biustów klasycznych pisarzy i zwiędłych wieńców wawrzynowych, które zwykle, jak duchy opiekuńcze wiszą w pracowniach autorów... Sposób życia Ibsena jest również skromny i jednostajny. Mieszkanie jego jest jego całym światem.

Rano pracuje on do dwunastej, a następnie odpoczywa Ibsen, drzemiąc według starego mieszczańskiego zwyczaju, a często leży na kanapie z otwartemi oczami i oddaje się rozmyślaniu. Potem zastajemy go znowu w pracowni; o 6tej wychodzi na wieczorny spacer, a później poświęca się całkiem swej rodzinie. Ibsen ma dziś około 50 lat; długie jego na dół spadające siwe włosy i siwa broda *à l'anglais* nadają mu pozory starszego wieku. Pomimo niskiego wzrostu, męzka jego postać robi imponujące wrażenie. Charakterystycznym rysem jego twarzy jest niezwykle szerokie i wysokie czoło, prawdziwe sklepienie myśli, prawdziwe czoło Jowisza; delikatnie zarysowane usta wyrażają siłę woli a małe szare oczy giną prawie po za okularami. Nos jest północnego wyniosłego typu. Ubiera się zazwyczaj czarno i prawie stale nosi wstążkę orderową. Mówi cicho, porusza się powoli i rzadko giestykuluje. Coś chłodnego przebija się w jego fizjonomji, lecz powierzchowność myli, bo jest to tylko śnieżna powłoka na wulkanie, pełnym namiętnej, dzikiej siły.

Mniej więcej w tym samym wieku, co Ibsen jest Jules Verne. Współpracownik „Figara“ podaje o nim następujące szczegóły:

Autor „Podróży na około świata w 50ciu dniach“ ma obecnie 52 lata; jego piękną, delikatną głowę pokrywały kiedyś jasne, dziś już siwe włosy, ufryzowane „a l'aventure.“ Rysy jego twarzy są regularne, oko świeże, jasno niebieskiego koloru. Twarz Verne'a wyraża spokojną łagodność, z pewnem odcieniem stałości. Jego krasomówcze usta odpowiadają *tak* i *nie* z tym samym uśmiechem i tą samą stanowczością. Verne, bretańczyk z pochodzenia, zachował religijne tradycje Bretanji; ale słuszniej możnaby go porównać z malarzem, który uwiecznia wrażenia z swych podróży, niż z męczennikiem, poświęcającym się dla religijnych przekonań. Polityczne kwestje są dla niego obojętne, i nigdy też nie brał udziału w wyborach.

Cały świat zna dzieła Juljusza Verne'a. Przybył on do Paryża, by studjować prawo, ale literackie jego skłonności wskazywały mu inne pole. Pomimo tego skończył swe studja i został sekretarzem Perrins'a, administratora opery komicznej oraz teatru *lyrique* na *Boulevard du Temple*. Wkrótce zaczął się wyłącznie oddawać literaturze; pierwszemi jego utworami były artykuły, pisane dla *Musée de Famille* i jednoaktówka, wystawiona w *Teatre historique*. Niebawem ukazała się jego książka „Cinq semaines en balon;“ choć to była pierwsza dopiero próba, znalazła ona ogólne uznanie i powieść cieszyła się takiem powodzeniem, że nakładca odrazu zrozumiał, jaką kopalnią złota będzie dla niego Jules Verne. Zawarł więc z nim dwudziestoletni kontrakt pod warunkami, które wtedy uchodziły za bardzo świetne, lecz które jak się potem pokazało, wzbogaciły przedewszystkiem nakładcę.

Zbytecznem chyba będzie wyliczanie wszystkich 30 utworów „Verne'a, gdyż są powszechnie znane. Jules Verne był w owych czasach namiętnym graczem bakara; całemi dniami i nocami grano u niego, stawki wynosiły tysiące franków. Po ukazaniu się „Cinq semaines“ oświadczył on swym przyjaciołom, że się żeni i znikł z widowni. Od tego dnia poświęcał się tylko swym studjom, swym podróżom i literackim produkcjom. Verne mieszka pomiędzy Paryżem i Amiens, gdzie posiada wytworny dom. Bardzo często żegluje on na swym znanym okręcie „le Saint Michel“, na którym też większą część swych romansów pisze. W ogóle jest on jednym z najszczęśliwszych ludzi pod słońcem; zarabia sto tysięcy franków rocznie i ma nadzieję zostania wkrótce kolosalnie bogatym człowiekiem.

I. Rubinstein też posiada siedzibę godną wielkiego artysty. Willa w Peterhofie, którą zamieszkuje jego rodzina i do której siedzibę po swych artystycznych wyciezkach po Europie, jest prawdziwym „Zamkiem nad morzem.“

Wewnętrzne urządzenie willi jest niezmiernie eleganckie i wytworne. Udekorowany obrazami i rzeźbami znakomitych artystów salon, biblioteka, jadalnia, sala bilardowa, buduar pani Rubinstein i różne inne pokoje znajdują się na parterze, który od strony ogrodu łączy się z werandą, ocienioną kwiatami i zielonością. Na pierwszem piątrze leżą dziecinne i gościnne pokoje. Na drugiem piątrze mającem kształt wieży, jest tylko jeden pokój samego artysty z przepysznym widokiem na morze. Urządzenie wszystkich komnat nie da się opisać. Salon pani Rubinstein nie ma chyba sobie równego, a takiej biblioteki jaką tu znajdujemy, nie posiada żaden inny artysta. Cały dom jest budowany w stylu szwajcarskim.

Każdego wieczoru zbiera się na herbacie u państwa Rubinstein dobrane towarzyskie kółko. Tutaj też Rubinstein wypoczywa po swej męczącej całodziennej pracy i oddaje się wesołej, ożywionej pogadance. Korespondent gazety *Signale*, któremu zawdzięczamy te szczegóły, dodaje w końcu, że w podróży swej z Rubinsteinem przekonał się, jak ubóstwia tego kompozyrora całe rossyjskie społeczeństwo. Na każdej stacji czyniono znakomitemu muzykowi owacje, a w Moskwie wyszedł na spotkanie jego cały pochód zwolenników i pięknych dam z prezydentem (głową) miasta na czele.

Powyższe szczegóły o tych trzech znakomitych mężach wyraźnie świadczą, iż minęły już czasy (w niektórych przynajmniej krajach), kiedy droga artystów i poetów usłaną była cierniami. Dzisiaj wawrzyny rzadziej kłują czoła uwieńczone. Jest to jeden dowód więcej, że wiek nasz jest wiekiem postępu. Być może, iż wkrótce zaświeci ta gwiazda i nad mniej dotąd szczęśliwemi krajami.

—mym—

Od Redakcji.

P.P. Autorów, którzyby sobie życzyli, ażeby o ich pracach była w „Tygodniu Polskim“ zamieszczoną ocena — upraszamy o nadsyłanie dzieł zaraz po ich wyjściu, wprost pod adresem: Redakcja „Tygodnia Polskiego“ we Lwowie plac Halicki l. 14.

Treść Nr. 50. str.

Z Drukarni „Gazety Narodowej“ pod zarządem A. Skerla. Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.